Nr. 11. Lwów, Niedziela dnia 12. Listopada 1876 r. Tom IV.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XI.

UPOJENI.

Już to nie ulega wątpliwości, że w naturze naszej nie mało znajduje się lenistwa, które przy braku wytrwałości, znamionującej nasz charakter narodowy, smutne dla sprawy ojczystej sprowadza następstwa. Z obu tych przywar zespolonych z sobą rodzi się u nas apatja, ospałość, prędkie zniechęcanie się do wszelkiego działania, którego od razu, zapałem, doraźnie dokonać nie można, jeno pracą wytrwałą, obliczoną, a zawsze energiczną. Ztąd skorsi jesteśmy do marzeń niż do czynu, — do mówienia o pracy, niż do pracowania. Marzycielstwo jest dla nas równie niebezpiecznem, jak samotność dla umysłów słabych. Skłonni do idealizowania, pełni fantazji poetyckiej, prędko idziemy za wpływem wrażeń, za popędem wyobraźni i bardzo często zostajemy ideologami. Jak ludu naszego stało się nałogiem nieszczęsnym upajać się wódką, tak znaczna część inteligencji lub pseudo-inteligencji naszej, rada upaja się utopjami, ideologją — słowem... marzeniem.

Takich upojonych mamy niesłychanie wiele. Poznać ich po zbytecznem przecenianiu sił narodowych, po zatwardziałem uwielbianiu wszystkiego co polskie, choćby nawet błota polskiego i dziór w naszych mostach. Miłość ojczyzny a zaślepienie — to wielka różnica. Człowiek kraj miłujący, stara się zalety narodu potęgować, wady wykorzeniać; stara się wyzyskać zdobycze cywilizacji innych narodów, dla korzyści narodu własnego; patrzy na obcych bez uprzedzenia i wszystko, co dobrego tam znajdzie, na gruncie własnym zaczepić usiłuje, — słowem p r a c u j e dla ojczyzny. Człowiek w ojczyźnie zaślepiony lekceważy wszystko co nie polskie, usuwa się od ruchu cywilizacyjnego ludzkości, oddziela się murem chińskim od Europy, i bezwzględnie zachowuje, konserwuje wszystko, co tylko w kraju wzrosło, choćby to przesąd był niedorzeczny, choćby to obłęd, choćby to nawet grzech pierworodny. Ci ludzie zdolni tylko m a r z y ć dla ojczyzny.

Z tych marzeń snują się najrozmaitsze aberacje, w mniejszym lub większym stopniu — zaraźliwe, zgubne, a z tego powodu potępienia godne, że zarażając społeczeństwo, sprowadzają je z drogi pracy realnej, organicznej; że rozłamują i tak już rozdrobnione siły narodu, a do tego w takiej chwili najczęściej, gdy naród największej trzeźwości, największego skupienia ducha i sił swoich potrzebuje.

Miasto nasze ma takich upojonych podostatkiem. Ludzie ci odziewają się w togę namaszczonych pomazańców rzekomo wyższej idei, a właściwie jeno własnego marzycielstwa. Dumnie z trójnoga rzucają wyrocznie, a biada tym, którzy ze szklanką zimnej wody spieszą, aby im wrócić przytomność.

Rzucamy te uwagi tem skorzej, że we Lwowie od dłuższego już czasu pojawiają się upojeni — i coraz śmielej występują. Najskrajniejsi z nich, ludzie zazwyczaj złamani tułactwem, niedolą, przesiąknięci marzycielstwem z tułaczki wyniesionem, publicznie nawet występują i głoszą bałamuctwa, dla młodzieży zwłaszcza — zabójcze. Dość powiedzieć, że przed kilku miesiącami niejaki p. N. miewał w tutejszej czytelni akademickiej publiczne wykłady, zawierające nie co innego, jeno propagandę nauki Towiańskiego.— Niedawno jedno z pism codziennych stanęło wyraźnie w obronie Towiańszczyzny utrzymując, że takowe „godzi się z postępem i nauką," czemu nie można dosyć się nadziwić, że pismo poważne otwiera swe szpalty propagandzie takich niedorzeczności, jakie mieszczą się w nauce Towiańskiego.

Obecne wypadki wojenne podsyciły jeszcze upojonych, i oto zaczynają się rodzić plany i kombinacje awanturnicze, znajdujące przystęp nawet do dzienników poważnych. W Warszawie coraz śmielej podnoszą głowę — w Poznaniu już się odezwały — a i u nas zaczynają przybierać kształty wyraźne. Nie mamy prawa i chęci rozbierać rzecz ze stanowiska politycznego, ale wolno nam i musimy odezwać się ze stanowiska czysto etnograficznego. Narody nie dają się przetapiać w tyglu, jak mięszanina kruszczów jakich. Śmiesznością byłoby żądać od Włochów, Francuzów, Hiszpanów i t. d. aby zatarli swe indywidualizmy narodowe i stali się Romanami tylko; śmiesznością byłoby spodziewać się, że Niemcy, Anglicy, Skandynawi i Holendrzy, wrzucą w piec swe dzieje, swoje literatury, swój język — i staną się jednym narodem teutońskim; równą śmiesznością jest marzyć, aby Czesi, Polacy, Serbowie, Chorwaci i t. d. wyrzekli się indywidualizmu narodowego i stworzyli jakiś naród słowiański. Francja nie miała nigdy na oku sympatyj plemiennych dla Hiszpanów lub Włochów, jeno własny interes narodowy; równie jak Anglja i Szwecja nie pragnęły nigdy przypodobać się Niemcom w imię plemiennej wspólności, jeno zajęte były pracą nad wyrobieniem sobie jak najlepszego stanowiska w rodzinie narodów europejskich.

Towiańszczyzna toruje drogę panslawizmowi — i dla tego poznawszy ją bliżej, uchylił się od niej Mickiewicz — odwrócił Słowacki. Towiańszczyzna zrodziła nikczemny adres do cara w r. 1857, potępiała walki i prace narodowe — a i dziś agituje na rzecz panslawizmu. *Caveant consules, ne respublica quidquid detrimenti capiat* — odzywamy się do ludzi trzeźwej myśli i dobrej woli. Starajmy się, aby — w dzisiejszych zwłaszcza czasach — jak najmniej było u p o j o n y c h.

ŻELIGA.

Powieść

Józefa Ignacego Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Na ślubie, w kaplicy zamkowej, nikogo nie było oprócz domowników, sług i dworzan, którzy wyniesienie matki mej złem wi-

dząc okiem, chociaż dla nich wszystkich najlepszą była, niechętnymi się jej stali. Od tego dnia poczęło się męczeństwo kobiety, która z anielską cierpliwością znosić je umiała. Wojewoda wskutek rozdrażnienia, a potroszę wieku i słabości, odosobniony od familji swojej i pierwszej żony, pozbawiony dziecka, do którego był przywiązany, prędko wpadł w przykre usposobienie i nie wychodząc już prawie z nieustannych zatargów, waśni, sporów ze swemi, stracił smak i ochotę do życia. Matka też nasza szczęścia nie miała, pozbawioną będąc przyjaciół, otoczona niechętnymi, cierpiąc wymówki od ojca częste, jak wielkie dla niej poniósł ofiary. We łzach przyszedłem ja na świat, a w rok po mnie siostra moja. Jakkolwiek przewidując losy, które nas czekały na świecie, matka nasza żyć pragnęła, aby czuwać nad nami i bronić swych dzieci, wkrótce sił jej nie stało, i wczesnym zgonem osierociła wojewodę, mnie z siostrą niemowlętami prawie zostawiając na łasce Bożej.

Nic z tych wypadków zapamiętać nie mogę, ale z opowiadania jedynego przyjaciela, staruszka, który matkę naszą jak własną córkę kochał, wszystkich jej nieszczęść będąc świadkiem, wiem, iż czując się bliską zgonu, prosiła wojewodę do siebie, i z łoża powstawszy, z wysileniem wielkiem do nóg mu upadła dziękując za wyniesienie swe, a razem błagając go za dziećmi swemi, aby im krzywdy czynić nie dał, prawdziwie ojcowskiem sercem je miłując. Ostatni to był wysiłek nieszczęśliwej kobiety, która go zgonem tejże nocy przypłaciła.

Wojewoda słysząc boleściwy jej głos, widząc zbladłą a zalaną łzami twarz, sam też od łez powstrzymać się nie mógł, gdy mu raz ostatni otwierając serce przedłożyła wszystko co wycierpiała, co przebyła z pokorą, i jako wcale nie pragnęła zaszczytu i korony, która dla niej była cierniową. Pogrzeb nieboszczki matki naszej, pod wrażeniem żalu dotkliwego, odbył się ze wspaniałością wielką, a nikt z familji wojewody przybyć nie chciał, a staraniem pokątnem nieprzyjaciół matki, trumny nawet do grobów familijnyh nie wstawiono, ale ją na uboczu w pospolitych grobach umieścić kazano, aby i po śmierci prochy jej nie zmięszały się z kośćmi pańskiemi.

Wojewoda dosyć z przyczyny tego powtórnego małżeństwa ucierpiawszy, znękany, coraz starszy, po śmierci matki, ażeby się z rodziną pojednać i zgodę przywrócić, nas ofiarował się poświęcić. Obiecywano mu powrócić ulubionego syna Stanisława, z warunkiem, aby mnie i siostrę Teresę do stanu duchownego przeznaczył, do klasztoru zawczasu oddając. Zgodził się na to natarczywością rodziny złamany wojewoda, i dla dziecinnego naszego wieku, naprzód nas do oddalonej majętności wysłał, kędy uboga krewna zajmowała się wychowaniem naszem, a gdyśmy nieco podrośli, natychmiast, dotrzymujac słowa, mnie do OO. Jezuitów oddał, siostrę do Lwowa do pp. zakonnic wyprawił.

Wiek, choroba, znękanie nieboszczyka rodzica, naleganie familji, dokonały tego, że się prawie nas zaparł, i żeśmy jego serca dla nas mało mieli dowodów. Ukradkiem niekiedy przywożono nas czasu świąt po błogosławieństwo ojcowskie, a na uboczu je odebrawszy niewiele pieszczot rodzicielskich kosztując, potajemnie wkrótce odjeżdżaliśmy z siostrą do naszych zakonników i zakonnic. Że nas wcześnie oboje do stanu duchownego ordynowano, wychowanie też stosowne za młodu i surowe odbieraliśmy, prawie dziecinnej swobody i wesela nie zażywszy. Modlitwy, posty i ostre reguły, zawczasu przysposabiały do żywota klasztornego. Wiedzieliśmy oboje co nas czeka, a że niedola wspólna i sieroctwo serca zbliża, kochaliśmy się z siostrą Teresą, najbardziej nad tem bolejąc, że się nam z sobą na wieki rozstać przyjdzie. Projektowaliśmy też ja i ona, że kapłanem zostawszy w klasztorze, którego ona będzie ksienią, miejsca spowiednika dopraszać się i starać mam. Ale Bóg inaczej rozporządził.

Oboje jakoś pomimo wychowania, mimo pobożności, nie czuliśmy w sobie żadnego powołania do stanu duchownego; ale wiedząc o niezmiennem postanowieniu rodzica z rezygnacją się do niego przygotowywaliśmy.

Ciężko tylko było rozstać się nam z sobą, gdy przyszedł czas udania się do klasztoru; opłakaliśmy tę godzinę gorzkiemi łzami, ale młodość i jej siły boleść tę pokonały.

Wstąpiłem do szkół OO. Jezuitów a razem prawie do seminarjum ich i nowicjatu, naznaczoną mi oblekając sukienkę. Ciężyła ona a raczej przestraszała, bo czułem się stworzonym do czynnego życia. Przełożeni też moi wcale ze mnie nie byli zadowoleni, mając do czynienia z naturą twardą, nieugiętą, na wszelki gwałt jej zadany oburzającą się. Z początku usiłowano ją pokonać, później przedstawiono ostrożnie ojcu mojemu, że do ciszy klasztornej nie zdawałem się stworzonym. Ale on obstał przy swojem raz dawszy słowo, i obiecywał wiele ojcom, byleby bez użycia środków ostrych skłonić mnie do stanu duchownego potrafili. Nie opierałem ja się wcale otwarcie anim stawał krnąbrnie, lecz im mocniej i zapobiegliwiej chodzono koło mnie, tem ten nacisk silniejszą we mnie budził odrazę do klasztoru, do sukni; zamiast pokory rosła we mnie duma ludzka nieukrócona, chęć swobody nieprzełamana.

Toż prawie samo działo się z siostrą moją, w innym klasztorze zamkniętą, która pobożna była nadzwyczaj, ale nie mogła się oswoić z myślą wyłączenia ze świata żyjących, nie własną wolą, a z góry narzuconym rozkazem.

Tłumaczono nam to obojgu tem, że rodzic przewidując, jakie w życiu trudności ciągnąć miało za sobą urodzenie i imię nasze a niechęć rodziny, dla szczęścia naszego pragnął od świata usunąć, aleśmy tego zrozumieć nie mogli.

Tymczasem wojewoda mając przy sobie brata starszego p. Stanisława, widząc go ciągle, obcując z nim, sam zaś siły i zdrowie straciwszy, szczególniej się do niego przywiązał, a nieustannie mając go z sobą, nałogowo się do niego przyzwyczaił. Stanisław owładnął nim całkowicie, a serca dla nas braterskiego mieć nie mogąc, bo nas za natrętnych jakichś przybłędów niemal uważać nawykł, jak cała rodzina, mocniej jeszcze utwierdzał ojca w postanowieniu rozporządzenia tak losem naszym, abyśmy ani w domu ani w sercu ojcowskiem żadnego nie mieli udziału. Nie jego w tem była wina może, gdyż mu od dzieciństwa wszystko tak przedstawiono, iż inaczej myśleć nie mógł. Zapomnieni, zaparci niemal, siostra i ja żyliśmy sierotami wśród obcych, z bolesnem uczuciem naszego odrzucenia: nieostrożne słowa zimnych ludzi, dawały mu coraz mocniej czuć krzywdę, jaka się nam działa. Ojciec starzał i słabł, coraz gorzej się mając... Po jego śmierci wiedzieliśmy, że całe losy nasze i przyszłość zależeć miały od brata, który dla nas był dotąd obcym, braterstwa nie dając najmniejszego dowodu, niechęci bardzo wiele.

Stało się wszakże z woli Bożej inaczej niż było ułożone. Stanisław rosnąc w lata, słabym ojcem zawładnąwszy, znudzony ciągłym przymuszonym przy nim pobytem, stał się ostrym, niecierpliwym, dla rodzica nawet ciężkim. Nie żeby winnego mu uszanowania chybiał, ale panować w domu nawykłszy, mniej sobie coraz wolę ojcowską cenił, postępował często, jakby już nikogo nad sobą nie uznawał.

Chorobą dolegliwą złożony ojciec zatęsknił za kimś, coby mu jak dziecię służył, a nie jak starszy rozkazywał. Na pół roku przed śmiercią trafiło się, że Ojciec Ignacy przybył na święta do rezydencji. Znał on mnie dobrze, lubił dosyć, i zawsze śmiejąc się przepowiadał, że ze mnie dobrego mnicha nie zrobią. Począł go ojciec rozpytywać o mnie, bo mu chwilami teraz przychodziła troskliwość jakaś o nas, żal obojgu.

O. Ignacy nie wahał się wyznać przed nim całą prawdę, wyraził ojcu zdziwienie swe, że gwałt chce zadać sumieniowi dziecka, zmuszając je do obrania zawodu, którego obowiązków spełnić dobrze nie potrafi; dodał, że grzechem jest popychać do nieuchronnego grzechu. Sądzę że tym rozmowom z O. Ignacym winien byłem, iż mi w końcu zjechać na czas jakiś do chorego rodzica dozwolono. Byłem tak z tego szczęśliwym, iż nie pomnę w całem życiu chwili błogosławieńszej, nad te niespodziewane powołanie i przybycie do domu.

Czułem jakbym przestawał być sierotą; do zupełnego uszczęśliwienia tylko siostry mi brak było.

Nie obrachowywałem wcale, że ten przyjazd nie w smak przyjdzie bratu starszemu, który przywykłszy być tu sam i rządzić, nie lubiąc z nikim dzielić się afektem ojcowskim, krzywem okiem patrzał na tego, którego przecież za brata uznawać musiał.

Pamiętam tę chwilę uroczystą, gdym przez O. Ignacego do łoża ojca był przyprowadzony, drżałem jak liść równie z obawy jak z radości. Leżał starzec od dawna już wstawać nie mogący, wychudły, blady, ale poważny jak patrjarcha z siwą po pas brodą, z wybielałemi chorobą rękami; podniósł się gdym się przybliżał i ukląkłem, patrzał na mnie długo milczący, wyciągnął drżące dłonie, położył mi je na głowie i rozpłakawszy się całować począł. Słowa nie rzekł, tak mu uczucie tłumiło oddech i wikłało myśli. Posadził mnie potem naprzeciw okna, i patrzał

się długo; trzymał nie dając odejść od siebie. a gdym się na chwilę oddalił, wnet posyłał po mnie abym powracał.

Ta czułość ojcowska jeszcze bardziej rozdrażniła Stanisława, który od dnia pierwszego milczeniem mnie zbywał pogardliwem, lub szydersko o klasztor dopytywał. Nie wiele też z nim przestawałem, bom prawie nieustannie był przy łożu ojcowskiem na posługach. Stary, który dotąd miał najemników tylko, poczuł około siebie różnicę dziecinnego starania. Widocznie przywiązywać się do mnie zaczynał.

A i to uczucie taić musiał przed bratem Stanisławem, przy nim był zimniejszy, zdając się lękać więcej o mnie niż o siebie. Gdy chciał co dla mnie uczynić, świadczył mi ukradkiem; całował gdyśmy byli sami, przy p. Stanisławie spojrzeć się niemal obawiał.

A że często już wprzódy rozpytywał mnie i wspominał o Tereni, uprosiłem O. Ignacego, ktory był spowiednikiem wojewody, aby też i dla niej przyjazd do domu na czas jakiś wyjednał. Stało się to, ale nie bez wielkich trudności, bo p. Stanisław już i mnie samemu często powrót do klasztoru przypominał, a przyjazdowi siostry widocznie był przeciwnym, czując, żeśmy mu trochę serca ojcowskiego odebrać mieli. Przecież nam ono należało.

Stało się, że mimo przekąsów i dąsów p. Stanisława, który nawet ojcu był podobno swoim wyjazdem zagroził, Terenię z klasztoru powołano. Z nią pełniejsze jeszcze rozpoczęło się szczęście, gdy ta prawdziwie anielska istota, przyszła ostatnie chwile ojca swym uśmiechem opromienić. Była ona tak piękną obliczem, a życie zakonne tak ją udoskonaliło i podniosło, iż nie podobna było patrzeć na nią bez głębokiego poszanowania. Czuł każdy spojrzawszy, posłyszawszy głos, że miał niemal świętą przed sobą. Ojciec sam zdumiał się jej, a pokochał ją wkrótce tak, że bez niej żyć nie mógł. Musiała całe dnie siedzieć przy nim, czytać z nim, modlić się, opowiadać, stary odżywać się zdawał, gdy ją miał przy sobie.

Już i ja trochębym był mógł zazdrościć gdybym mniej ją kochał, cóż dopiero p. Stanisław, któremu krzywda się działa widoczna. Codzień więc szło nam gorzej, a gdyśmy bodaj do stołu siedli bez ojca i zostali sami, brat starszy obchodził się tak z nami, że i rumieniec i łzy z oczów, a z serca żółć tryskać musiała.

Skutkiem wzruszenia czy słabości, mimo że z początku wojewoda zdawał się zdrowszym i trochę był sił odzyskał, potem nagle osłabł bardzo i zdrowie jego bardzo szwankować poczęło.

Nie wiedzieliśmy nic, aniśmy mogli myśleć o tem, jak naszą przyszłością wola rodzicielska rozporządzi, aniśmy dorozumiewali się wyroku, jaki na nas już był dawno zapadł w testamencie ojca, zaraz po zgodzie z rodziną zawartej, uczynionym. Wola ta ostatnia, mocą której my z siostrą prawie wydziedziczeni byliśmy, gdybyśmy stanu duchownego obrać nie chcieli, złożoną była u wuja Stanisława, bo ją familja książąt L. na starcu wymogła. Poznawszy nas bliżej i pokochawszy, może idąc za poradą księdza Ignacego, poczuł wojewoda całą wielkość krzywdy nam uczynionej, ulitował się nad stanem naszym i w wielkiej tajemnicy nowy testament przygotować kazał. Spodziewając się zaś, iż pierwszy, którego dopominać się zwrotu obawiał, posłużyć może familji matki Stanisława, a drugi unieważnionym by byc mógł, postarał się, aby ostatniemu wszelkie formy prawne nadane zostały. Nie wiedziałem naówczas o niczem. Korzystając z polowania, na które p. Stanisław na dzika wyjechał, sprowadzono prawników, rejenta, i potajemnie akt ten dla nas tak ważny spisano.

Ojciec nasz po wykonaniu tego spokojniejszym, a nawet nieco zdrowszym się być poczuł. Jednakże rodzina książąt L. coś o robocie tej zasłyszawszy przez zwolenników swoich na dworze, niebezpieczeństwo jakieś przeczuwając, baczną była i pilną nalegając coraz bardziej, aby nas do klasztoru wysłano. Ojciec się na to nie zgodził, i wręcz odmówił żądaniu.

Zostaliśmy więc w domu, i w nieszczęściu naszem tę przynajmniej mieliśmy pociechę, żeśmy na wieczny odchodzącego spoczynek rodzica pożegnać mogli.

Śmierć przyszła spodziewana a przecież naglej niż przewidywano. Czasu pogrzebu zostawiono nas w spokoju, nie śmiejąc mieć za złe, żeśmy przy zwłokach rodzicielskich miejsce dzieci zajmowali. Wszakże z zimnego i prawie pogardliwego obejścia się brata Stanisława i familji matki jego, a nawet stryjów i dalszych krewnych, miarkować mogliśmy już, co nas w przyszłości czekało. Nie śmiano nas wypędzić, ale wśród tłumu wszędzie nas dwoje tylko było, rozstępowano się przed nami, wydzielając jak zapowietrzonych.

Miałem naówczas lat około dwudziestu, ale mnie surowe wychowanie zawczasu dojrzałym uczyniło a przywiązanie do Teresy wkładało obowiązki opieki, którą spełnić poprzysiągłem.

Zaraz po pogrzebie p. wojewody, pospieszono z uroczystem otwarciem testamentu jego, który się w rękach książąt L. znajdował. Cała rodzina przybyła na ten obrzęd, przytomna była czytaniu, my także staliśmy w kątku. Nikt najmniejszej opozycji woli nieboszczyka stawić nie myślał, my płakaliśmy tylko; opiekę nad nami bezwarunkową testament zdawał na brata Stanisława, zlewając nań prawa ojcowskie.

Gdy się to czytanie pierwsze dokonało, po którem głuche zgromadzeniu panowało milczenie, p. starosta Bielski, stryjeczny p. wojewody, którego był do siebie wezwał na parę tygodni przed śmiercią, powstał i poprosiwszy o głos, z zanadrza dobył opieczętowaną kartę.

Wszyscy z podziwieniem spoglądali po sobie.

— Upraszam — rzekł — p. rejenta aby był łaskaw powtórzyć datę testamentu p. wojewody.

Rejent głośno i wyraźnie ją odczytał, twarzy bladły, starosta po chwili dodał zwolna:

— Wezwany zostałem przez śp. brata mego na tygodni kilka przed zgonem jego, celem sporządzenia innego testamentu, gdyż ten pierwszy po rozmyśle sumiennym nie zdał mu się właściwym. Inny spisany został. Jako opiekun naznaczony małoletnim, za wolą zmarłego przed-grobową, prawnie spisaną i poświadczoną, upraszam o odczytanie złożonego na ręce moje w odpisie uwierzytelnionym testamentu, który poprzedzającego dyspozycję obala.

Wrażenie jakie to oświadczenie starosty uczyniło na zgromadzeniu, nie daje się opisać, cała familja książąt L. tem okrutniejszym wybuchnęła gniewem, im mniej się tego spodziewała. Starosta, który był człowiekiem chłodnego charakteru, ale energicznym, cale się tem nie poruszył.

— Gdzież testament? jaki? kiedy sporządzony? poczęto wołać ze wszech stron.

— Testament, który mam honor i obowiązek przedstawić, — rzekł starosta spokojnie — sporządzony jest formalnie, w assystencji osoby duchownej, dyrektora sumienia p. wojewody, O. Ignacego, oblatowany w trybunale. Oryginał przedstawiam.

Niecierpliwie zaczęto się domagać czytania, słuchano go z oznakami oburzenia i gniewu, zupełnie bowiem obalał pierwsze rozporządzenie, opiekę nad nami powierzał staroście a nas z siostrą do praw wszelkich spadkowych zarówno z p. Stanisławem, bratem przyrodnim, przypuszczał.

Wstyd tylko jakiś od wybuchu powstrzymał rodzinę L., która natychmiast do wyjazdu sposobić się zaczęła. Testament był tak prawnie obwarowany, iż po długich naradach czy by go zaatakować nie można, pokusić się nawet o obalenie jego nie śmiano. Poszliśmy z siostrą spłakawszy się złożyć Bogu dzięki za niespodziane szczęście, potem do p. starosty opiece się jego oddając.

Wybrał go ojciec nasz nieboszczyk nie bez myśli, jeden on bowiem z całej rodziny nie miał przesądów rodowych, które magnata od szlachcica dzieliły. Sam prawie ubogi, bez rodziny bliższej, poniewierany przez krewnych dla tego, że się ze szlachtą rad bracił, żył po większej części z uboższymi od siebie i państwa się był wszelkiego wyrzekł, a nawet z niego sobie żarcików pozwalał.

Stał się też ulubieńcem drobnej szlachty, którą jak chciał kierował, co mu nie małe dawało wpływy. Dogadzało mu upokorzenie familji L. i dumnego p. Stanisława, który się z nim dawniej dość pogardliwie obchodził, i gdy do rezydencji przyjeżdżał, zawsze mu albo przy stajni, albo w kuchni kwaterę wyznaczał. (C. d. n.)

O wrażeniach zmysłowych

przez

Dr. Juljana Ochorowicza.

(Ciąg dalszy).

Wszystkie farby widma razem połączone dają kolor biały, a łączone pojedynczo w różnych stosunkach, wytwarzają cały świat kolorów szarych, brunatnych i w ogóle mięszanych, jakie tylko wyobrazić sobie możemy. Nie należy jednak brać za jedno, mięszaniny barw widmowych z mięszaninami farb chemicznych, tu bowiem zacho-

*

dzą zupełnie różne warunki, gdyż przy mięszaninie może się zupełnie zmienić układ cząstek materji a tem samem i własność odbijania lub pochłaniania pewnych promieni świetlnych. I tak: farby zielone i fjoletowe uważane są chemicznie za mięszane (żółta z niebieską i karmazynowa z niebieską), zaś w widmie są uważane właśnie za pierwiastkowe zasadnicze, na równi z czerwoną. Tak samo też nie można uważać wrażeń powstających przez położenie na sobie dwu szkieł kolorowych za istotne mięszaniny samych barw. Do tego trzeba się posiłkować samemi promieniami widma, łącząc je za pomocą soczewki w jedno ognisko. Wtedy przekonamy się, że wszystkie kolory widma razem złożone dają kolor biały, co więcej przekonywamy się, że pewne pary kolorów widmowych także dają wrażenie białości, mianowicie: żółty z indygowym, czerwony z zielonkowo niebieskim, pomarańczowy z jasno niebieskim, i zielonkawo żółty z fjoletowym. Takie pary nazywamy *kolorami dopełniającemi się*. Spoglądając na widmo widzimy, że farby dopełniające się leżą w widmie dość daleko jedna od drugiej. Obok siebie leżące nigdy nie dopełniają się wzajemnie, a z drugiej strony dwa najdalsze, czerwony i fjoletowy, dają mięszaninę purpurową.

Czerwoną, zieloną i fjoletową uważamy za barwy zasadnicze, ponieważ są to *jedyne trzy farby czyste* — dające mięszaninę prawie zupełnie białą.

Wrażenie farb dopełniających się dają nam różne ciekawe zjawiska. Jak w naturze objektywnie przy pomocy soczewki, tak i w samem oku mogą się one łączyć i wytwarzać wrażenie białości. Jeśli np. dwie farby dopełniające się ułożymy w pewnej odległości i patrzeć będziemy na nie z góry przez szkło zwyczajne, ale w ten sposób, żeby promień od jednej przechodził przez szkło a drugi tylko odbijał się od niego i łączył się z poprzednim w oku, to otrzymamy wrażenie białości. Jeśli zaś farby były inne, otrzymamy kolor mięszany.

Farby dopełniające się, albo prawie dopełniające się, robią nadto wrażenie przyjemne, i dlatego nazywamy je harmonijnemi. Tak np. żółta z niebieską dobrze odbijają, podobnie jak czerwona z zieloną — przeciwnie zestawienia zielonej z niebieską albo zielonej z żółtą są brzydkie, i robią wrażenie podobne do czucia dysonansu w dźwiękach.

Według ciekawych doświadczeń Chevreul'a każdy kolor pojedynczy zabarwia kolor sąsiedni swoją barwą dopełniającą. Czerwony umieszczony obok pomarańczowego staje się niebieskawym, ponieważ dopełniającym kolorem pomarańczowego jest niebieski — pomarańczowy znowu traci swój odcień czerwony i staje się jakby żółtym zupełnie. Dla malarza zasadniczemi farbami są: żółta, czerwona i niebieska — dla fizyka zaś: czerwona, zielona i fjoletowa, wtedy gdy są czyste zupełnie. Ażeby sprawdzić, na czem polega wrażenie harmonji lub dysharmonji farb, zrobimy następujące doświadczenie.

Kolor czerwony i zielony są harmonijne. Otóż jeśli przez dłuższy czas patrzeć będziemy na powierzchnię zieloną a potem zwrócimy oko na białą, to ta ostatnia wyda nam się czerwonawą. Możemy to doświadczenie jeszcze bardziej skomplikować: przyklejmy na białym papierze kwadracik zielony i wpatrujmy się w niego kilka minut. Jeśli następnie spojrzymy na biały papier, zobaczymy na nim kwadracik czerwony, który będzie się przesuwał wraz z okiem.

Widocznie więc jedne wrażenia mogą przechodzić w drugie pod wpływem zmęczenia siatkówki. Jeżeli zamiast na jeden kolor patrzeć będziemy na słońce, to po pewnym czasie widzieć będziemy przed sobą kółko zmieniające barwę, ponieważ odzywają się w niem wszystkie kolory dopełniające po rozkładzie promienia białego na inne.

Zachodzi teraz pytanie, jaką rolę odgrywa w widzeniu obecność dwojga oczu? Zdawałoby się z pozoru, że wrażenia ich są jednorodne i służą tylko do wzajemnego wzmocnienia się; tymczasem tak nie jest: oba oczy już w skutek swego różnego położenia widzą rozmaicie bo różnostronnie, i tylko użycie obu daje nam pojęcie bryłowatości. Dziś już trudno nam to sprawdzić, ponieważ otoczenie nasze znamy tak dokładnie, że nawet używając jednego tylko oka wiemy jakie są stosunki przestrzeni i wypukłości w tem, na co patrzymy. Lecz jeśli się postawimy w mniej częstych warunkach, wówczas różnica podwójnego widzenia doskonale na jaw wyjdzie. I tak: jeśli ktoś trzyma przed nami pierścionek zawieszony na sznurku, to zamknąwszy jedno oko niepodobna nam jest prawie ocenić jego odległości tak, iżby palcem trafić z boku w pierścionek — tymczasem otwierając drugie oko zrobimy to z łatwością. W tym bowiem razie kąt utworzony przez osie oczne schodzące się na przedmiocie, a właściwie stopień ściągnięcia mięśni ocznych daje nam poczucie odległości. Ściśle rzeczy biorąc, t. j.: niezależnie od zdobytych już doświadczeń, i oba oczy nie mogą wcale oceniać bryłowatości ciał bez pomocy zmysłu mięśniowego, i to nietylko muszkułów ocznych, ale w ogóle muszku'ów całego ciała, które przy poruszaniu się i przenoszeniu z miejsca na miejsce dają nam pojęcie szerokości, głębokości i wysokości. Oczy same widzą tylko powierzchnie i nawet nie umiałyby ich odnieść na zewnątrz. Niesłychanie ciekawe są w tym względzie obserwacje nad ślepymi od urodzenia, którzy nagle wskutek operacji wzrok odzyskali, tu bowiem dopiero poznać możemy, czem są dla nas wrażenia wzrokowe bez pomocy wszystkich innych. Po raz pierwszy fakt taki obserwował Cheselden w r. 1728. Od tego czasu kilkunastu lekarzy opisywało fakta podobne. Mamy więc dosyć danych do ocenienia zjawiska. Otóż przedewszystkiem, ponieważ ten cudowny świat barw i cieniów, który widzimy, nie jest dziełem samych oczu, tylko zespolania się stopniowego wrażeń wzrokowych ze zdobyczami innych zmysłów, więc też nagłe odzyskanie wzroku nietylko nie da choremu tego obrazu, jaki my przy każdem spojrzeniu widzimy — ale nawet nie zrobi na nim spodziewanego uczucia radości. Wrażenia bowiem wzrokowe, dopóki się nie skojarzą ściśle w skutek tysiącznych doświadczeń z odpowiedniemi wrażeniami dotyku i zmysłu mięśniowego, dopóty nie mają dla nas najmniejszego znaczenia. Operowany widzi tylko rodzaj błysku, rodzaj migotania farb w samem oku, ale ani przedmiotów odpowiednich, ani ich zewnętrzności i wymiarów oceniać nie może. Do chwili operacji światło padając tylko pośrednio przez błony kataraktowe, nie mogło wdrożyć czopków wzrokowych siatkówki do rozróżnienia nawet barw pojedynczych, to też pierwsze jego wrażenie będzie tylko chaotyczne. Już jednak pierwsze ruchy oczu zawiadamiają go, że kolory i kształty mglisto przesuwające się nie są od niego zależne, nie leżą w samem oku, ponieważ ze zmianą jego ułożenia zmienia się i rodzaj wrażeń. Tym więc sposobem już po kilku próbach mięśniowych z oczami, zaczyna przypuszczać, że to co widzi leży zewnątrz niego. Operowany wyciąga rękę dla ujęcia tego co widzi, ale najczęściej wyciąga fałszywie, ponieważ mięśnie nie nauczyły go jeszcze poczucia kierunku, i zupełnie tak jak dziecko wyciąga ręce zarówno do gwiazd jak i do świecy. Chory zna wprawdzie przestrzeń i różne jej wymiary w skutek doświadczeń mięśniowych i dotykowych rąk i nóg, ale przy nowym zmyśle — tamte zdobycze wtedy tylko staną się dla niego praktycznemi, gdy je zdoła połączyć i ściśle zjednoczyć z tem, co mu zmysł nowy podaje. Wznoszenie oczu ku górze dotychczas dla niego obojętne, teraz przyczyni się do wzmocnienia pojęcia wysokości, przez widok przedmiotów, które pierwej tylko dla wyciągniętej ku górze ręki dostępne były. Tak samo rzecz się będzie miała i ze wszystkiemi innemi kierunkami i wymiarami. Dopiero spostrzegłszy zależność wrażeń światła od wrażeń mięśniowych i dotykowych np. przy poruszaniu świecy trzymanej w ręku, będzie mógł przez widok świecy ocenić jej położenie i t. d.

„Jednem słowem — jak mówi Dr. Szokalski w wybornem swem dziełku O *patrzeniu* i o *poglądaniu* (Warszawa 1856) — operacja zaciemniałego od urodzenia oka, usuwa w niem jedynie tylko mechaniczną wzroku przeszkodę, ale go *ani widzieć ani patrzeć nie uczy*.“ Cała ta wiedza musi się dopiero zdobywać stopniowo, a przychodzi to tem łatwiej, im chory ma więcej swobody do robienia ciągłych doświadczeń i im jest młodszy. Rzecz godna uwagi i mogąca służyć za ilustrację kierunków konserwatywnych w społeczeństwie, że dla starszych wzrok, któregoby się każdy z nas za żadne skarby świata nie pozbył, staje się wstrętnym, jako objaw nowatorski, jak postęp, którego potrzeby wcale nie czują. Dorośli operowani tak dalece przywykają do swego mięśniowo-dotykowego na świat poglądu, że nowy jego wygląd wzrokowy, raczej ich smuci niż cieszy, owszem z żalem wspominają owe dawne dobre czasy, w których się żadnych kolorów nie znało i kiedy wszystko było wyraźne na swój sposób. „Znałem pewnego pianistę, mówi prof. Szokalski, którego w 18 roku życia Luzardi operował. Zapewniał on mnie, że gdyby był przewidział wszystko co go czekało, nigdyby był na operację nie zezwolił!..“

To też operacja, jeżeli ma być dobrodziejstwem dla ociemniałego, powinna się odbywać jak najwcześniej w wieku dziecięcym. Później chory musi przeinaczać cały swój świat wyobrażeń, zanim się oswoi z charakterem i wartością nowych wrażeń. Częstokroć nawet chory nie wierzy poprostu w jakąkolwiek ich wartość, i trzeba go dopiero zmuszać do robienia prób i przekonania się. W tym celu np. *Dupuytren* kazał związywać ręce, ażeby zmusić chorego do używania oczu. Zaś Carron de Villards uczył patrzeć dziecko przez niego operowane w ten sposób, że przywiązywał mu do sufitu na nitkach pokarmy i zmuszał do chwytania rękami przedmiotów ciągle się usuwających. „Oba te sposoby, dodaje Dr. Szokalski, oddały mi wielką usługę u dwunastoletniego wyrostka, którego operowałem; pomimo to jednak w rok blisko po operacji nie znał on jeszcze dostatecznie ani kierunku, ani odległości swego spojrzenia, rozlewał wino na stół, chcąc go do szklanki nalać, wpadał na ulicy pod konie, obijał się o przechodzących, upadał przez rynsztok i popełniał co chwila tym podobne niezgrabności.“

Wszystko to potwierdza to, com już na początku powiedział, że wzrok sam przez się jest

bardzo niedołężnym zmysłem, i tylko przyswajając sobie zdobycze innych i często łącząc się z niemi dochodzi do tej przewagi, jaką niewątpliwie posiada. Ażeby zaś poznać powód tej przewagi, dosyć jest zastanowić się nad łatwością odbierania wrażeń wzrokowych w porównaniu z innemi. I tak u człowieka rozwiniętego normalnie wzrok jest bez porównania więcej drażniony aniżeli inne zmysły. Gdziekolwiek rzucimy okiem, widzimy najrozmaitsze kombinacje barw świateł i kształtów, tymczasem urozmaicone wrażenia słuchowe trafiają się stosunkowo nierównie rzadziej — zwykle zaś słyszymy tylko szmery i to całkiem obojętne. Powtóre, wzrok nierównie częściej ostrzega nas o ruchach, o niebezpieczeństwie aniżeli słuch albo dotyk. Po trzecie, dla doświadczenia nowych wrażeń dotykowych musimy jeżeli nie poruszyć się całem ciałem to przynajmniej wyciągnąć rękę, której doniosłość nie daleko sięga. Tymczasem dla otrzymania wrażeń wzrokowych dalszych dosyć jest spojrzeć przez okno na domy lub na niebo. Wreszcie żaden zmysł nie daje nam takiej różnorodności w drobiazgach spostrzegawczych jak wzrok, który w każdym punkcie przestrzeni znaleźć może niezliczoną ilość różnic, nie mówiąc już o tej, jakiej nam mikroskop dostarcza.

(C. d. n.)

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

Jana Kubarego.

(Ciąg dalszy.)

Na wielu wyspach, gdzie brakło zwierząt, biali dali takowe, a krajowcy poznawszy ich użytek przyjęli je. Tak samo doznał dobrego przyjęcia i człowiek biały. Naturalna rzecz, owa gościnność została wyłożoną jako wyrazy naturalnej niższości umysłu i ducha krajowców, była to tylko apoteoza utworzonego przez Boga białego człowieka, przed którym dziki „niger“ zgiął kolano w znak zapytania i uwielbienia. O ludzka zarozumiałości! Tę słabość, uczucie naturalne człowieka żyjącego w naturze, tę gościnność dla obcej istoty, ludzkiej postaci choć białej skóry, fałszywie zużyto i wzięto za powód do ucisku. Mniemanie krajowców, że pierwsi biali byli bogami, jest naturalne; u nas całe narody dzisiaj jeszcze wierzą i rządzą się wiarą w duchy, dla czego więc brać iluzję synów natury za głupotę, tem bardziej, że przy zasadach jakiemi rządzą się ci biali, iluzja ta była bardzo krótką i skończyła się w pierwszej dobie zatrzymania boskiego przybysza w swem kole.

Krajowe bogi stworzyły krajowy świat i były nauczycielami życia. Biały chciał jeść, pożądać cór i żon i hańbić bezkarnie, co bogowie tylko w Grecji czynili, a poczciwi wyspiarze nie byli klasykami, nic więc dziwnego, że poznali w białym pospolitego człowieka i do tego strasznie niezdatnego do życia między nimi. Wszystkie jego pojęcia były paradoksami—zamysły nonsensem, czyny najczęściej łamaniem praw, a więc zbrodniami. Skutki tego rozczarowania są jeszcze dzisiaj pisane krwią przybyszów na piaskach wyspowych brzegów, i stały się hasłem do boju o istnienie.

Na wyspie Ponepe, do której właśnie zmierzałem, czas chwały białego człowieka zniknął, stał się on niczem więcej tutaj, tylko biczkomberem, przyjętym i utrzymywanym przez krajowców tak samo i dla tych samych widoków, jak jego współtowarzysze: świnia, pies i kot. Świnia psuje krajowe plantacje, ale jest źródłem dochodu, gdyż wielorybniki ją opłacają towarem. Pies na swe nieszczęście tu przybył, gdyż nie psuje plantacji, a kapitanowie nie chcą go kupować, stał się więc przysmakiem i zastępuje świnię. Kot szelma kosmopolita, nie je roślin i choć nie ma tu mleka ni wielkich pieszczot, żyje wygodnie, tępiąc swe przyrodzone ofiary, gdyż niepodobna szczurów nazwać jego wrogami. Cóż biały człowiek ze swej strony ma polecającego?... Oto zna całą przebiegłość swego rodu, więc wyspiarze byli jeszcze przebieglejszymi zastosowując tę znajomość zbywającą im.

Każdy naczelnik dystryktu, których jest pięć na Ponepe, starał się mieć swego „własnego“ białego, który musiał z nim przedewszystkiem pić, który to obowiązek jak najskrupulatniej wypełniał, potem bawić go opowiadaniem o rzekomych cnotach i przewrotnościach swych plemiennych, w końcu pośredniczyć z przybywającemi okrętami.

Biały stał się nie bogiem, nie naczelnikiem, ale służalcem, narzędziem w ręku krajowca obróconem przeciw innym białym.

Przebieżmy okoliczności i następstwa tych stosunków. Panuje tu obyczaj picia „dzioko“ znanej na wyspach Polinezji pod nazwą „kawa“ lub „awa“ (Peper mythisticum). Korzeń tego krzewu zostaje tłuczonym na szerokim kamieniu i rozrobiony wodą daje napój, mniej więcej odurzających własności. Samo picie kawy umiarkowane, nie uważam za szkodliwe, wiele i często jest jednak z wielu względów niekorzystnem dla zdrowia.

Biały poznał małą szkodliwość tego środka i bogaty w wiedzę wziął sok z palmy kokosu i ten przedystylował dając krajowcom, obrzydliwej woni upajający napój, dając mu romantyczne miano „akwadentata.“

Owe wspaniałe dziewice przyrody, wysmukłe palmy, dają od tej pory krajowcom nietylko środek do życia, ale i truciznę do jego skrócenia. Pijaństwo i podczas upicia się popełniane zabójstwa i inne zbrodnie, stały się częstemi.

Ciągłe przestawanie naczelnika ze służebnym mu białym, dało temu ostatniemu okazję do wysnucia najszkaradniejszych kłamst i do uprzedzenia go dla jakiejś wyłącznej narodowości, do dania naczelnikowi jak najfałszywszych pojęć o duchu naszych praw i naszych zasad, co w umyśle krajowców zostało tem lepiej przyjętem, gdy ciągłe fakta i czyny — owe przewrotne podania potwierdziły.

Będąc pośrednikiem między swym naczelnikiem i nowo przybywającymi Europejczykami, to jest kapitanami okrętów, grał rolę pośrednika dla dostarczania na okręty cór wyśpiarzy, świń i prowizji, okłamywał kapitana o swym wpływie, a naczelnika o skąpstwie kapitana. Musiał się stać kłamcą i złodziejem. Zadowolić naczelnika, od którego słowa byt jego zależał i oszukać kapitana, by wydrzeć więcej towaru.

Podejrzywany przez krajowców, lekceważony przez kapitana, stał się tylko możliwym z konieczności i o ile był użytecznem narzędziem.

Polityczny podział wyspy na dystrykty, nienawiść między plemionami, zazdrość będąca charakterystycznym typem krajowca — wszystko jakby wyrwane z naszych europejskich stosunków, ułatwiło jego moralny rozkład. Musiał nienawidzieć tego, kogo nienawidził jego chlebodawca, bał się okazać nienawiść widocznie dla wroga, a wrogiem był każdy nowy przybysz, grożący osiedleniem się pod patronatem jego naczelnika. Pewnego czasu było tu przeszło 100 obcych przybyszów, rozdzielonych interesem i mordujących się wzajemnie bezkarnie.

W roku 1873 szeregi żyjących tu Europejczyków przerzedzone, miały stosunkowo nie wielu członków, tuzin tylko pozostał ich, resztę pokrywają groby, lub zabrali wielorybnicy.

Moje pewnego rodzaju uprzedzenia do wyspy Ponepe, są więc uzasadnione niejako, tembardziej, że nie miałem wiele zaufania do misjonarzy, którzy tu się osiedlili.

Zawinąwszy nareszcie do brzegów Ponepe, nadszedł czas wylądowania. Odczytywałem właśnie z uwagą świeżo otrzymane listy z nad Wisły, gdy kapitan stanowczo, z zimną krwią zapytał słowami, na które stanąłem w osłupieniu. Gdzie pan myśli lądować — w części djablej czy misjonarskiej?

— Djablej... he?... co to znaczy?

— Ta część wyspy, gdzie nie ma misjonarzy — odrzekł mi kapitan jak najobojętniej.

— Ha! jest to więc grata dla mnie pomyślałem; krajowcy obserwują dawne obyczaje, które są przedmiotem mych badań.

— Jakiego charakteru jest naczelnik tej części?

— Jest ich wielu. — Wielu? — Bardzo wielu.

— Lecz charakter ich w ogóle?

— Hm, są to niewinne nigry, którzy pana przyjmą uniżenie, zresztą dawniej już wspominałem im o panu — lecz oto właśnie przybywa Nanikin, naczelnik tego dystryktu, będziesz mógł sam osądzić. — Hola Nanikin, stary chłopcze, hola, jak się masz? — zawołał kapitan.

Kilkoma krajowcami obsadzone czółno przybiło do boków okrętu i na pokład wszedł mizernej postaci niepozorny krajowiec. Sądząc po twarzy, musiałby być około piątej dziesiątki wieku, czemu jednak zaprzeczały ruchy żywe i ogólna postawa. Po nad zwykłym krajowym fartuchem, wełniana dobra koszula pokrywała jego ciało, wykwintny niski europejski słomkowy kapelusz korzystnie zdobił głowę. Gadatliwe i głośne powitanie kapitana przyjął bez zwrócenia na nie uwagi, prosto szedł on ku nam i potrząsł rękę z kapitanem. Nie uszedł mi wyraz jego oblicza, dostrzegłem silne choć poskramiane skórczenie brwi i warg w chwili powitania. Nie był to jednak gniew, ale ślad niegdyś naiwnego uśmiechu i radośnego uczucia. Wzrok jego spoczął poważnie na mnie, lecz tylko w przelocie.

Przez tłumacza zaczął rozmawiać z kapitanem pytając o szczegóły podróży. Hm... pomyślałem sobie, Nanikin pomimo widocznego wpływu picia, zdaje mi się być godnym kredytu. Fałszywy i zepsuty naczelnik, byłby przynajmniej tak głośnym jak kapitan, zacząłby się wypytywać o mnie, starałby się ze mną zaznajomić, chwaliłby me rzeczy starając się wyłudzić prezent itd. Nanikin był oddalonym, prawie dumnym. Na moje „good morning“ oddał mi takowe z grzecznem poruszeniem głowy i to było wszystko co zaszło pomiędzy mną i nim podczas naszego pierwszego spo kania.

Zeszliśmy nadół do kajuty, kapitan postawił butelkę na stół. Spełniwszy pierwszy ceremonialny kieliszek, wyszedłem na pokład, by pomyśleć nad lądowaniem. (C. d. n.)

Zarys historji kobiety w Rossji.

Według Szaszkowa skreślił

Dr. Jan Stella Sawicki

(*Ciąg dalszy.*)

Nie zważając na nowe prądy ojcowie ciągle starali się zachować dawną władzę, nie pozwalali dzieciom zawierać małżeństw według sympatyj, a według swych spekulacyj, tak że nieraz dziewczęta były „przedawane“ przez ojców w całem znaczeniu słowa ich przyszłym mężom. Znany bogacz Demidow rozgniewany za to, że córka koniecznie chciała wyjść za mąż za szlachcica, przybił do drzwi domu swego ogłoszenie: „Że w domu znajduje się towar, córka dziewczyna; kto ze szlachty chce ją kupić, odda mu chętnie.“ Jakiś szlachcic urzędnik pierwszy przeczytawszy ogłoszenie, poszedł do ojca i ten wydał córkę nie pytając jej, czy się jej człowiek ten podoba. W Moskwie i w Petersburgu są dnie w roku, w które wszystkie dziewczęta z klasy kupieckiej są w ogrodach na wystawie. Prowincjonalna szlachta córki swe wywozi na wystawę na jarmarki, jeżeli nie może pozbyć się ich z domu. Małżeństwo z interesu było zwykłem zjawiskiem, przemysłem szczególnego rodzaju. Mężczyzna żenił się dla karjery i dla pieniędzy. Przedawały się kobiety, sprzedawali się też i mężczyźni. W Petersburgu rozwinął się na wielką skalę następny zwyczaj: Jakikolwiek aferzysta brał do siebie na utrzymanie dymisjonowanego, ubogiego jenerała, obowiązując się karmić go i ubierać dopóty, póki nie znajdzie mu narzeczonej z kapitałem tylu tysięcy, z których jenerał da mu tyle... Narzeczonę wybierano pośród kamelij, które uzbierały fortunę, stawała się ona jenerałową, a pan jenerał otrzymywał pieniążki. Małżeństwa z rozkazu wyższej władzy nie były zniesione przez reformę Piotra. Jak naprzykład, rząd nakazywał, żeby najbogatsi ludzie w Małorosji wydawali córki swe jedynie za Moskali. (Sołowjew). Magnaci często przymuszali podwładnych swych żenić się z dalekiemi ich krewnemi, nie mogącemi znaleźć porządniejszej partji lub z dymisjonowanemi swemi metresami, znajdującemi się nieraz w poważnym stanie. Przy Pawle był następny wypadek. Urzędnik synodu, niejaki Maksymów, był wzięty przez policję i przedstawiony jenerał-gubernatorowi stolicy, który mu objawił ukaz carski, żeby się ożenił z córką krawca Klokenberga, Katarzyną. Nie wypuszczając Maksymowa z pod aresztu, gubernator rozkazał odwieść go razem z Katarzyną do cerkwi i tam dać ślub w obec urzędników policji, którzy zastępowali świadków. Na zapytanie popa czy ma wolną i nieprzymuszoną wolę, Maksymów odpowiedział: że żeni się w skutek rozkazu carskiego. Cała rzecz zaczęła się od tego, że Katarzyna żyjąca w jednym domu z Maksymowym, zakochała się w nim. Chociaż nie znali się zupełnie, rodzice zauważywszy, że córka jest zakochaną, obiecali ją wysiec; dziewczyna rzuciła się do kanału w zamiarze samobójstwa, lecz ją wyciągnęli Gdy dowiedział się o tem Paweł, rozkazał Maksymowa ożenić z Katarzyną, chociaż ten nie chciał tego zupełnie. Podobne śluby były i potem. Niejaki Kurolesow, człowiek bogaty i wpływowy jechał przez wieś jakąś i tam zauważał w polu kobietę niezwykłej piękności. „Stój“ krzyknął do furmana. „Michałku jak ty znajdujesz tę babę? — Bardzo piękna. — Czy chcesz z nią ożenić się? — Jakżeż można ożenić się z cudzą żoną“ odpowiedział Michałek uśmiechając się. „A ot jak... Chłopcy weźcie ją — krzyknął — i posadźcie do mego powozu!“ Kobietę schwytano, posadzono do powozu, przywieziono do cerkwi i chociaż ona objawiła, że ma męża i dwoje dzieci, na rozkaz pana pop dał jej ślub z Michałkiem. W ogromnym majątku Arakczejewych zawsze było wiele narzeczonych. O nich zwykle burmistrz zdawał raport hrabiemu, a ten nakazywał przedstawiać ich sobie. Hrabia stawiał ich parami, narzeczonego z wybraną przeżeń kobietą. Gdy już wszyscy stanęli w tym porządku, hrabia kazał Helenie przyjść do Iwana, Marji do Piotra lub Pawła, a gdy przemięszał wszystkie pary, rozkazał połączyć ich ślubnym węzłem, nie pytając czy oni tego życzą sobie. W duchowieństwie kandydaci na popów żenili się często z kobietami, których wskazywała im ręka arcypasterza. Wśród duchowieństwa swobodny wybór małżonka był ograniczony dwoma zwyczajami: pierwszy był ten, że młodym wyświęconym kapłanom pozwolonem było żenić się tylko z córką popa, drugi zaś, że córka popa zmarłego otrzymywała jako wiano parafję, i ten, który chciał otrzymać miejsce, musiał się z nią ożenić.

Zwyczaje mięknły tak powoli, że do najnowszego czasu możemy spotkać się z objawami takiej męskiej tyranji, które przypominają czasy Iwana Groźnego. Najczęstszą przyczyną różnych nadużyć była zazdrość. Nawet Piotr I karał nieraz cieleśnie własnemi rękami kochanki swoje za zdradę. Drugą przyczyną męskiej tyranji była pańska rozrzutność i chęć owładnięcia majątkiem żony. Sołtyków bił żonę i głodem morzył, a potem ograbił ją zupełnie. Książe Aleksy Dołhoruki zmusił żonę do zapisania mu swego majątku i do podpisania aktu, że ona straciła wszystko na siebie i chce wstąpić do klasztoru; dla dopięcia tego celu trzymał ją w zamknięciu, męczył, i najmował denuncjantów, którzy obwinili ją o czary i cudzołóztwo. Karcowa oddano pod sąd w 1853 roku za okrutne obchodzenie się z własną żoną, którą bił, chciał zastrzelić, oblewał wrzącą wodą, palił rozpalonem żelażem, żeby tylko zmusić ją do zapisania mu połowy jej majątku. Despotyzm rodzimy dochodził do tego stopnia, że zamykano żony swe zdrowe do domu obłąkanych, przedawano je, kupowano i przegrywano je w karty lub w bilard. Jedną ze scen podobnych opisał Lermontów w poemacie „Kasiczka“ (Kaznaczejsza).

Kobieta europejska, w ciągu kilku stuleci wpłynęła na poprawę obyczajów. Moskiewska dotychczas tego nie zrobiła i zrobić nie mogła, bo prawo i władza traktowały ją na równi z mężczyzną; bili je knutem, wyrywali nozdrza, brali na tortury, nawet wtedy, gdy były w błogosławionym stanie. Z niemi nie robiono ceremonji i przy karaniu w administracyjnym zakresie. W końcu 15 wieku damę dworu Elmpt, za rozpowszechnianie karykatur kazano osiec rózgami. Policmajster Szeszkowski z szczególną zręcznością siekł je własnoręcznie. Zdarzało się, że ajenci jego przychodzili z nim razem do domu familijnego i ukarawszy winną gospodynię pewną ilością rózeg, odchodzili. Za panowania kobiet, dla płci pięknej zrobiono pewne wyjątki, naprzykład, już nie używano kobiety do katorżnych robót, tylko na osiedlenie, nie wyrywano nozdrzy i nie piętnowano na twarzy. Katarzyna oswobodziła szlachcianki od kary cielesnej, lecz aż do 1863 roku prawo karne nie okazywało prawie żadnej względności dla masy kobiet, dla ich wrażliwości i wstydliwości. Nawet ukaz 1863 r. oswobodzający kobiety od kary cielesnej, nie wszędzie jest w zastosowaniu, jak naprzykład w zachodniej Syberji. Lecz kara cielesna nie była jeszcze największą męką, bo moralne cierpienia, które one przechodziły, były okropne. W tym względzie historja moskiewska napełniona mnóstwem oburzających faktów. Szczerbatow powiada, że cześć kobiety była w większem niebezpieczeństwie od Moskali jak od Turków we wziętem szturmem mieście. Toż samo działo się w administracyjnych sferach w różnych prowincjonalnych miastach. Rewizor Pryłow w Irkucku, ograbiwszy bogatszych mieszkańców miasta, pod przykryciem gwardji, którą się otoczył, panował tak groźnie w Syberji jak największy tyran, szczególnie względem kobiet. Brat księcia Birona, mieszkający na Rusi utworzył u siebie ogromny harem. Chwytali kobiety, a szczególnie mamki, odbierali dzieci, a dawali im do karmienia szczenięta z psiarni tego złoczyńcy. Ludzie silni i bogaci pozwalali sobie wszystkiego względem kobiet. Często z objęć matki wyrywano córki i rzucano je w odmęt rozpusty. W czasie objazdów swoich policyjni urzędnicy żądali, żeby w każdej wsi były dla nich przygotowane kobiety do zabawy. Te rzeczy działy się z dzieją dotychczas. Szczegóły okropne niemoralności i rozpusty, które przytacza autor, muszę opuścić, bo takich rzeczy nie podobna podać do druku. Dość powiedzieć, że i dziś jeszcze zdarzają się takie sceny, jakich pozwalał sobie Iwan Groźny w czasie swych przejażdżek po carstwie...

W społeczeństwie, które mogło znosić podobne obrzydliwości, w narodzie, który był zmuszony je cierpieć, nie mogło być nawet zewnętrznego szacunku dla kobiety, jaki widzimy w Europie. Tego nie było i tego nie ma, powiada autor i „pod tym względem Rossja jest krajem barbarzyńskim, bo jak nazwać kraj, w którym kobieta nie może chodzić bezpiecznie po ulicy, w którym prawie na każdym kroku może ona być obrażaną i krzywdzoną, w którym faryzeuszowska opinja publiczna obrzuca błotem każdy najniewinniejszy stosunek kobiety z mężczyzną, i w którym mogła zrodzić się myśl o wydawaniu emancypowanym dziewczętom żółtych biletów!“

(C. d. n.)

STUDJA ESTETYCZNE

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

(*Ciąg dalszy*).

Niobe przykuwa widza do siebie siłą tragicznego uczucia. Człowiek wzmaga się ogromnem współczuciem dla wielkiej i wiecznie żałośnej bogini. Choć przerażony strasznem, rozpacznem nieszczęściem, lubuje się jednak w drżeniu swojem. Miłość Nioby dla zabitych dzieci i w piersi widza pełną tętni falą. Litość dręczy prawie — ale owe udręczenie znajduje koniec, i cel i miarę w skamieniałości i śmierci. Na postacie Fidjaszowe patrzymy w grozie. Od Nioby odwracamy się chwilami, ale na to, by do niej wciąż wracać, by módz cierpić wraz z nieskończenie piękną.

W Niobie, w Erosie i Psyszy współczuwamy z miłością piękniejszych istot, wzrastającą w Niobie do potęgi tragicznej. Na innych posągach z owej epoki ujrzymy, że i z innemi gwałtownemi uczuciami współczuć można. Mamy tu

na myśli głowę Bakchusa (tak zwaną Ariadnę Kapitolińską) i Apolina Belwederskiego. Obie prace znachodzą się dziś w Rzymie, obie wykonane w Rzymie i w późnych już czasach. Obie jednak przypominają patetyczne prace z owej epoki.

Bakchus, naśladowany według Alkomenesa, jest w szale wieszczym. Twarz jego z grecka piękna, ale wycieńczona natchnieniem, delikatna i niewieścia prawie. Latorośle, liście winne, i grona winne oplotły bogate bezładne włosy; usta rozwarte jakby w najgłębszej zadumie; oko spuszczone w dół, zapatrzone i jakby drżące pod powieką. Bóg ten tak wygląda, jak gdyby go szał boski był aż tam zaniósł, gdzie boską stracił równowagę, gdzie płeć zamienił prawie, gdzie z naturą tak się zrósł, że włosów od liścia nie rozróżnić. Stan taki zwano w starożytności orgiastycznym. Tracono w nim świadomość o sobie, zlewano się z wszechświatem, drżano i mdlano pod brzemieniem marzeń. Patrząc na posąg, wraz z bogiem zlewamy się z naturą i jesteśmy temu radzi.

Apollo Belwederski jest to idealny młodzieniec. Włosy kędzierzawe nad czołem z grecka w węzeł uwiązane; usta w pół otwarte, brwi z lekka niedostrzeżenie prawie ściągnięte, nozdrza szeroko rozwarte, ramię wyciągnięte naprzód i szukające wroga, drugie ramię w tył jak u człowieka w pędzie rzucone, nogi iście boskie w gwałtownym ruchu bliskim biegu, ale przypominającym pochód żołnierzy. Wszystko świadczy, że bóg ten w wielkim powstał gniewie i że wroga gruchoce i zwycięża. Posąg mimo dziwnie idealnej budowy ciała, traci trochę przez ruch nadto gwałtowny na cichej harmonji linji, i nie ze wszech stron równie piękny. Od twarzy za to przeraża potęga co tobie niby grozi, i czujesz współczucie z gniewem mocy. Idealne piękno tu mniejsze jak u Fidjasza, ale bóg w gniewie swoim bliższy ciebie.

Lizyp współczesny Macedończykom już całkiem zeszedł z Olimpu. Jego dłuta jest Ajaks z trupem Patrokla w Loggia dei Lanzi we Florencji. Kształty bohatera idealne zawsze, ale w rzeczypospolitej Ajaksowego ciała nie ma tak górnej władzy najlepszych. Bohater ma na głowie hełm, a na biodrach krótką pancerną spódnicę helleńskiego wojownika. Trup pięknego Patrokla ciężący na ramionach Ajaksowych całkiem nagi. Silny Ajaks jest męską brodą zdobny, a Patrokla młodzieńcze lice pozbawione jeszcze porostu. Czoło zmarszczone i brwi ściągnięte dowodzą, że Ajaks przyjaciela żałuje. Ale choć boleje nie poddał się cierpieniu; i owszem kroczy naprzód, i ze ściśniętemi usty, ze spokojnem okiem i spokojną głową ogląda się za nieprzyjacielem. Ciężar trupa prawicą tylko i lewem goleniem dźwiga. Lewicę oparł o rękojeść miecza, gotów siebie i przyjaciela bronić w potrzebie. Po tych znakach poznać chrobrego męża, co wyrósł po nad głowy karłowatego tłumu, i męża co panował nad boleścią, co pełni obowiązek, i co znając niebezpieczeństwo śmiało mu w oczy zagląda. Po widoku bogów, widok męża takiego jest rzeczą najwznioślejszą.

Wiemy z Iliady, że wał, trud tysiąca mężów, przed samym wzrokiem Apolina runął, jakby dziecinną ręką z piasku usypana zapora; a na twarzy i w postawie Belwederskiego Apolina widać istotnie taką potęgą. Bez niepewności i bez wysiłku kroczy. W Seraju w Carogrodzie stoi posążek ze spiżu, nie mający więcej jak półtora łokcia wysokości. Wykonanie jego doskonałe, a oko tak wprawione, że szklanna źrenica żywą się wydaje. Jest to Herakles, Lizypowego pewno dłuta. Podobnie jak Apollo, nagi całkiem, podobnie jak on kroczy naprzód, i patrzy przed siebie. Ale czyni wielkie kroki, takie jak krok zmęczonego a silnego człowieka. Usta zaciął w wysileniu woli, i buławę, na której lwią skórę obwieszono, oparł na ramieniu. Typ twarzy idealny grecki, muszkuły utrzymane we właściwej i harmonijnej mierze, włos i broda krótkie i kędzierzawe. I tu nie boga widać wszechmocnego, tylko człowieka, co z niezłomną wolą ciężki trud pełni.

Obydwa te posągi jakby moralizują widza. Przedstawiają one piękno i cnotę, dostępne dla śmiertelnych i namawiają do nich. Kierunek to, który całą epokę Macedońską opanował. W niej nie artyści tylko, ale historycy i poeci kazania prawili.

Skopos przedstawiając bogów cierpiących lub tęskniących, bogów miotanych namiętnościami, otrzymał był poklask, który chwilowo przyćmił poklask pozyskany przez dzieła potężne Fidjaszowych czasów. Lizyp żył za czasów logicznych, bo za dni Aristotelesa. Wiedział, że cierpienie i trud u nieśmiertelnych są niemożliwe. Zachciał tedy, tak samo jak Skopos, logicznemi środkami wywołać wrażenie, i zeszedł do namiętności ludzkich. Grecja przyklasnęła nowości, jak się przyklaskuje nowości każdej. Lizyp stanął bliżej natury od Praksytelesa — był prawdziwszym od niego.

Zwycięstwo króla Attalosa nad Galami dało początek Pergamskiej szkole. Na wszystkie sposoby starali się artyści Pergamscy uniešmiertelnić królewskie szczęście, i tą drogą zaszli do realizmu. Przedstawiali wrogów królewskich pokonanych, przedstawiali zwycięskich wodzów, i samegoż króla, i licznych królewskich poddanych, a wszystko to czynili wiernie i prawdziwie. Można się też u nich zapoznać dokładnie ze strojem i typem twarzy różnych narodów.

Dzieła ich posiadają wysoką wartość, najpierw dla doskonałej techniki, a potem dla głębokiej znajomości tak anatomji podskórnej, jak i fizjonomistyki i fizjologji. Kto w trybunie we Florencji spojrzy na niewolnika Słowianina ostrzącego noże, ten nie tylko dobrze znane rysy, ale lepiej jeszcze znany wyraz z radością przywita. Niewolnik choć nóż ostrzy, na co innego ma zwróconą uwagę. Usta otworzył, a głowę pochylił tak jak ten co słucha, a kształt powiek dowodzi, że się w coś zapatrzył. Wszystko tak prawdziwe i tak dokładne, że widz co chwila spodziewa się, że dostrzeże ruchu ramion albo piersi. Cieszy się człowiek słaby myślą, że człowiek inny mógł niegdyś tak wiernie naśladować przyrodę.

Równie dokładnie wykonany Gal, konający w Kapitolu, budzi więcej współczucia. Opuścił miecz i sparł się, padając, na ramieniu, co chwilę jeszcze górną część ciała od zupełnego upadku obroni. Ale wnet i to ramię się ugnie, i przed chwilą jeszcze bitwy wojownik będzie nieruchomą pastwą kruków i sępów. Głowa bowiem zwisła już bezsilnie.

Litość jest sama przez się uczuciem miłem. Gdy się z ideałem zlewać nie możemy, radziśmy i co innego pokochać, byle odrażającem nie było. To też nie tylko z zajęciem, ale i ze współczuciem patrzymy na tego Gala, co może konając dom i kochankę wspomina.

Jak filozofja i literatura późniejszej Attyki, tak i sztuka jej, żyła tylko naśladowaniem świetnych czasów. Kleomenes, obok Policharma, najznakomitszy z rzeźbiarzy Attyckich, zostawił nam słynną Wenerę Medycejską, stanowiącą dziś główną ozdobę trybuny Florentyńskiej. Jest ona mniejszych rozmiarów jak Kapitolińska, i ma zupełnie jednakową postawę. Technika i znajomość podskórnej anatomji stoją o wiele niżej jak u Praksytelesa. Ciało jest krótsze i bardziej mięsiste u nowszej Wenery. Wyrok jej śmiało zalotny, i wszystko ma tu bardziej niewieści charakter. Znać, że realistyczny wpływ Lizypa zmienił postacie Praksytelesowe.

W całej też bogini tryumfuje codzienność. Gdybyśmy taką niewiastę w życiu poznali, podziwialibyśmy jej piękność. W rzeźbie spodziewamy się wyższego ideału, bo skoro sztuka nigdy zupełnie natury naśladować nie może, żądamy od niej, by swe niedostatki zrównoważyła, przedstawiając coś piękniejszego od codziennej natury.

Niższym o wiele jest jedynie może oryginalny typ drugiej Ateńskiej szkoły. Jest to Afrodite Kallipigos Neapolitańska. Piękna ta zresztą kobieta, z ustami jakby do wiecznego całusu złożonemi, z grubym karkiem i z piersią wschodniej zalotnicy, podniosła wszystkie swoje szaty w ten sposób, że choć pierś jej zakryta, dolna część ciała po pas odkryta. Wygięła się w sposób nader niewygodny, byle mógł oglądać z tyłu własne najskrytsze wdzięki. Jest ona obrazem bezwstydnej zmysłowości, którą tylko najpóźniejsza starożytność na ołtarz postawić śmiała. Kallipigos powstała za czasów Komoda, i tylko budzi hucie fizyczne. Rozdrażni nerwy, a wreszcie w najlepszym razie niesmak cielesny wywoła. Szczęściem nie umieszczono jej w jednej z Fidjaszową Afroditą sali. Pewnoby się Kapuańska bogini z niesmakiem od owej nierządnicy odwróciła.

Samoistniejszą od późnej Ateńskiej, była szkoła Rodejska, która sobie muszkularną siłę ciała, okazałe zdrowie i wreszcie fizyczną boleść, za przedmiot obrała. Najsłynniejszem tej szkoły dziełem jest Laokoon Watykański, wykonany przez trzech artystów: Agezandra, Polidora i Atenodora. Mąż to w sile wieku i wielkiej piękności, kąsany przez dwie gadziny za to, że dobrą radę dał rodakom swoim Trojanom. Bogowie chcieli ich zgubić, i dali przeto Laokoonowi w najsroższej skonać katuszy.

Twórcy tej grupy przedstawili nagiego i potężnie muszkularnego Laokoonta z ramionami i nogą przez gadzinę splecionemi, z ciałem w tył rzuconem, ze wszystkiemi muszkułami wyprężonemi, z zaciśniętemi pięściami. Na rysach nieszczęsnego znać najsroższą boleść, nad którą panować nie sposób. Oczy, jak to po powiekach widać, zawrócone, czoło i twarz cała pomarszczone, brwi konwulsyjnie podniesione, usta do krzyku rozwarte. Wszystko tak prawdziwe, tak żyjące i tak potężne bolem, że widz nie może się od tego posągu oderwać, podobnie jak się nie mógł oderwać od Nioby. Ale widz patrzy na Laokoonta, jakby oczarowany wzrokiem bazyliszka. Widać tylko muszkularnego męża, co brzuch z boleści ściąga, i gadziny, co tłumaczą tę boleść cielesną. Jest to jaskrawy obraz fizycznej katuszy, a współczucie budzi tu tylko rozdrażnienie nerwów i jakby ból własny. Idealne piękno zatarte w drganiach konwulsyjnych, i zręczność rzeźbiarzy najwięcej w oczy bije. Ona przyciąga oko, sam zaś przedmiot razi wstrętem.

(C. d. n.)

Mój kwiatek.

Miałam kwiatek przed laty,
Co mi bardzo był miły;
W świeżą zieleń bogaty,
O łodyżce pochyłej.

Tu, za mojem okienkiem,
Rósł w doniczce glinianej;
Z jakimś dziwnym rósł wdziękiem,
Czarem woni owiany.

Nie wiedziałam jak nazwać
Jego listki pachnące,
Bom go kiedyś znalazła
Przy strumieniu na łące.

Zasadziłam go sobie,
Pokochałam go szczerze,
Że gdy myślę tak o nim,
Jeszcze dzisiaj żal bierze!

Jeśli słońce zajrzało
Do okienka w bzów cieniu,
Ja roślinkę nieśmiałą
Stawiam w jego promieniu.

Jeśli deszczyk na dworze,
Ja już w ogród go niosę:
„Pij, kwiatuszku nieboże!
„Pij niebieską tę rosę!“

Raz, gdy badam ciekawie
Drobnych listków obsłony,
Zobaczyłam — o Boże!
Mały pączek zielony!

Co radości, pociechy!
Kiedyż on się rozwinie?
Aż doczekać nie mogę
Kiedy barwą napłynie!...

Ale przyszedł zły człowiek,
Zganił kwiatek mój ładny!:
„Wyrzuć dziewczę to zielę,
„Toć chwast brzydki, szkaradny!..

„Śród ogrodu zieleni
„Spojrz, co kwiatów się śmieje:
„Mak w koronie płomieni,
„Dumny narcyz jaśnieje.

„Tu lilii lśni głowa,
„Barwny goździk koło niej,
„Młodej wiosny królowa.
„Wonna róża się płoni;

„Powój w prątkach rozlicznych
„Splata wieńce z kaliną;...
„Śród tych wonnych, tych ślicznych,
„Czemże chwast twój dziewczyno!?..“

Ja nie chciałam mu wierzyć,
Całowałam mój kwiatek....
Alem przecież spojrzała
W innych kwiatów dostatek.

I uroki, czy czary,
Nie wiem jaka przyczyna,
Alić moja roślinka
Tracić barwę zaczyna!...

Żółknie listków korona,
Odlatuje woń miła,
Niby ona — nie ona!
Jakaś krzywa... pochyła...

Ja się patrzę na różę,
Innych kwiatów kielichy....
Aż się w końcu — zachmurzę
Na kwiateczek mój cichy!

Precz odchodzę od niego.
Choć do oka łza płynie,
Szukać sercu przyjaźni
W pięknych kwiatów gęstwinie.

Ale szukam bez końca,
Już i drugi dzień mija.
Dla mnie ani goździki,
Ani śnieżna lilija!

Róża cierniem mnie kłuje,
Narcyz chłodem mnie wita;
Coś każdemu brakuje...
Nic za serce nie chwyta...

Więc z zawodem się zwracam
Rozżalona, nierada...
Wtem na moją doniczkę
Mimowoli wzrok pada:

Nagle w myśli mi stają
Mego kwiatka przymioty!
On mnie kochał, rozumiał,
Umiał koić tęsknoty!

Był tak luby, uroczy,
Taki dziwnie serdeczny,
Nęcił duszę i oczy,
Jak blask ciepły, słoneczny!

I to wszystko zapomnieć
Mogłam w jednej ja chwili?
Wierną przyjaźń porzucić,
Że coś ludzie mówili!

O nie! nigdy, przenigdy!
Znów cię kocham mój kwiecie,
Do ust tulę gorących,
Tyś mi jeden na świecie!

Lecz... bezmierna boleści!
Czyliż zmysł mnie nie myli?
On jak zeschły szeleści,
Jakby martwy się chyli!...

Czyżby po nim już było?
Nie! daremnie się trwożę!
Jednej chwili obłędu
Tak nie karzesz o Boże!

Ach! nie myli przeczucie
Gdy raz duszę zasmuci,
Uwiądł, usechł mój kwiatek.
Nic mu życia nie wróci!..

Iza.

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom drugi.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ I.

Ojciec Felipe.

Gdy Artur Poinsett po godzinnej przejażdżce wśród słońcem palonych piaszczystych wzgórzy, stanął u bramy misyjnego refektarza, odniósł przynajmniej tę korzyść z własnej rady, udzielonej także donnie Marji, że zupełnie wysuszył się i powierzchowność jego zachowała nieznaczne tylko ślady niedawnego wypadku. Jeszcze godniejszem uwagi było to, że i po wewnętrznej stronie jego tenże wypadek, jak gdyby tylko prześliznął się. Nikt nie znający indywidualności Poinsetta, która że tak powiemy wystarczała sama sobie, nie zdołałby pojąć, jak człowiek, w wysokim stopniu wrażliwy na wszystko nowe, z wrażeń swych otrząsał się tak prędko, nie poczuwając się do winy za to, i z jaką łatwością powracał do umysłowej i moralnej równowagi.

Nikt znający Poinsetta nie uwierzyłby temu, by on pomyślał raz drugi o kobiecie, którą uratował, lub też by rozważył podczas jazdy możebne i naturalne wyniki swego czynu. Gdy ujrzał panią Sepulvida na Point of Pines obmyślał on ewentualne szkody i korzyści, jakie mogą wyniknąć z naruszenia konserwatywnych stosunków w San-Antonio, — gdy stracił ją z oczu, myśli jego zwróciły się znowu ku temu przedmiotowi i wyłącznie były nim zajęte, dopóki ojciec Felipe nie stanął przed nim we drzwiach refektarza. Nie chcę ja tem powiedzieć, by nie doznawał on w pewnym stopniu zadowolenia ze swego czynu, a tylko chciałbym zaprzeczyć zdaniu, jakoby uczucie to żadnemu innemu miejsca nie pozostawiało. Być może również, iż nosił on w sobie przeświadczenie, że jeżeli sam jest zadowolony, to i inni zadowoleni być muszą.

Jeżeli donna Marja zachowanie się jego w ogóle poczytała za nadto niewymuszone, to z drugiej strony niemniej zdumiałaby się nad sposobem, w jaki powitał on ojca Felipe. Cała jego istota wyrażała ugrzecznienie i uszanowanie; dziecięca wiara i szczerość, nieograniczone zaufanie i całkowite oddanie siebie tak były wyraźne w tem powitaniu, że niepodobna było powątpiewać o ich szczerości. Zdumienie Marji niezawodnie doszłoby do najwyższego stopnia, gdyby widziała, że ten, któremu Artur taką cześć okazywał, był człowiekiem starym, którego wyjąwszy pewnej słodyczy i szlachetności w postawie i zachowaniu się, nie podobna było uznać za jakieś szczególne zjawisko. Nie mógł wcale przyczyniać się do tego jego staromodny ubiór, tabaką z przodu zasypany, ani trzewiki, które miał na nogach, lub raczej w których mieszkał — tak bowiem były ogromne i niezgrabne, tak mało odpowiadające temu, co się zwykle wymaga od obuwia, że musiały pobudzać do śmiechu.

Widocznem było, że zachowanie się Artura podobało się staremu. Wyciągnął on ku młodzieńcowi dwie pulchne brunatne ręce, powiedział do niego z uprzejmym uśmiechem „Mój synu“ i oświadczył mu, że jest miłym gościem w Misji.

— Daczego odwidziny twe wcześniej nie nastąpiły? zapytał ojciec Felipe, gdy przy czokoladzie i paląc cygareta zasiedli pod werandą, skąd widok był na misyjny ogród.

— Do przedwczoraj sam jeszcze nie wiedziałem, że przybędę. Jak się zdaje znowu znaleziono kilka koncesyj na grunta, udzielonych przez starego eks-gubernatora, o których potwierdzenie interesowani starają się obecnie. Ponieważ wspólnicy moi są bardzo zajęci, więc mnie tu wysłano dla zbadania tej rzeczy. Prawdę powiedziawszy byłem niezmiernie uradowany, znalazłszy tym sposobem pretekst do zobaczenia pięknej naszej klientki. Czy też i teraz ja, tak samo jak moi wspólnicy, doznam zawodu i nie będę mógł rzucić okiem na tajemniczą Dolores?

— O, mój kochany don Arturo, rzekł ojciec Felipe, na pół cofając swe ręce, obawiam się, że pod tym względem nie będziesz szczęśliwszym od innych. Biedne dziecię znowu rozpoczęło swój tydzień pokutniczy; a w takich chwilach nie przyjmuje nikogo, nawet w interesach zgłaszającego się. Wierz mi, mój drogi synu, że ty tak samo jak inni — a nawet więcej od innych — zanadto puszczasz wodze wyobraźni. Donna Dolores nie ukrywa swej twarzy, ażeby podniecić ciekawość mężczyzn, a tylko — biedne dziecię — ażeby ukryć przed oczyma ludzi twarz swą oszpeconą tatuowaniem. Wszak wiesz, że jest ona pół krwi... Wierz mi, wy wszyscy mylicie się. Być może, że

to głupstwo, próżność — kto wie? Ale jest kobietą!... wszystko zawiera się w tem słowie.

— Jednak słyszałem, że jest niepospolicie piękną, zauważył Artur z niezadowoleniem, którego nawet wobec ojca Felipe stłumić niezdołał.

— Tak tak!... ale to plotki, don Arturo, próżniacze plotki! odparł ojciec Felipe zniecierpliwiony, jestto miedzianej cery indyjska dziewczyna, z twarzą strasznie oszpeconą.

Artur zrobił minę, którą można było wziąć i za potakującą i za przeczącą zarazem.

— Niech i tak będzie, powiedział. Dla mnie wynika z tego, że dokumenta będę musiał sam przepatrzeć z panem. Bueno! Przynieś je ojcze i załatwimy rzecz całą, jak można najprędzej.

— Tylko cierpliwości! rzekł ojciec Felipe z uśmiechem. Potem dodał poważnie: ale jakże to da się wyjaśnić?... Zdaje mi się, że pan nie upatrujesz interesu w swoim zawodzie, a przynajmniej nie upatrujesz takiego, jakiby należało przypuszczać w młodym ambitnym adwokacie, najmłodszym ze wspólników wielkiej firmy. Serce nie lgnie panu do jego powołania... hm?

Artur uśmiechnął się i odrzekł.

— Dlaczegożby nie? To powołanie podoba mi się tak, jak każde inne.

— Ależ gnębionemu przyjść z pomocą, niesłusznie obwinionemu sprawiedliwość wyjednać, dokonane bezprawie usunąć... o, mój synu! to rzecz szlachetna! To właśnie wysoko stawi pana i jego wspólników w moich oczach, w oczach tych, którzy padli ofiarą naszych sądów i urzędów.

— Tak, tak, rzekł Artur, szybko przerywając panegiryk ojca Felipe z właściwą sobie łatwością, mającą podstawę nie tyle w skromności, ile w pewnem dumnem przeświadczeniu, stanowczo odrzucającem wszelkie pochwały nie w miejscu; — tak, zgadzam się na to... „Uczciwość jest najlepszą polityką“ jak się wyraził jeden z najstarszych naszych filozofów.

— Za pozwoleniem!... jak się wyraził? zapytał ojca Felipe.

Artur, wielce uradowany, powtórzył i wyjaśnił należycie znakomite zdanie Franklina. Ojciec Felipe z bogobojną miną i w niemem zdziwieniu podniósł oczy i ręce w górę.

— I to jest wasza amerykańska moralna zasada? zapytał w końcu.

— Tak jest; ona, w połączeniu z *Manifest Destiny* *) i „Na zachód dążącą gwiazdą państwa“ doprowadziła nas tu, a mnie zjednała zaszczyt poznajomienia się z panem, odpowiedział Artur po angielsku.

Ojciec Felipe spojrzał zakłopotany na młodego swego przyjaciela. Ten zaś stał się natychmiast pełnym uszanowania — po hiszpańsku. Ażeby zmienić przedmiot i widocznemu zakłopotaniu starego przyjść w pomoc, przeszedł on do humorystycznego opisu swej porannej przygody. Ale miało to częściowe tylko powodzenie. Wprawdzie zajęcie się ojca Felipe sprawą było żywe, nie zdołało jednak wywołać uśmiechu na jego twarz. Gdy młody człowiek skończył, ojciec Felipe podszedł ku niemu i kładąc swe miękie brunatne ręce na kędziory Artura, z ojcowskim ruchem, zgodnym z przyzwyczajeniem i powołaniem, odwrócił twarz jego ku swojej i rzekł:

— Popatrz na mnie! jestem stary człowiek, do Arturo. Przebacz mi więc, jeżeli sądzę, iż mogę ci udzielić niektórych rad, zasługujących na twoją uwagę. Wysłuchaj mnie! Jesteś człowiekiem młodym, posiadającym szczególne zdolności do pociągania kobiet i ulegania ich pociągowi... hm!... czy mi przebaczasz? — dodał gdy lekki rumieniec, pomimo uśmiechu, bystro wystąpił na policzki Artura. — Czyż nie tak? Nie wstydź się tego uniesienia, don Arturo! Nie tu — dodał z poetycznym ruchem wskazując na ścianę refektarza, na której zawieszony był obraz św. Antoniego — nie tu jest miejsce do rozważania wpływu twego, lub też traktowania go, choćby pobieżnie... Wdowa jest bogata, hm?... piękna hm?... ognista, hm?... Serce twe nie lgnie do powołania, które sobie obrałeś. Gdzież więc ono? Być może, iż poczęści w nieznanych zapędach... jak tu się wyrazić... w pewnych zdolnościach, miłych zaletach, na których praktyczną wartość jeszcze nie zwróciłeś uwagi. Z natury jesteś stworzony na kochanka. Przebacz mi! jesteś posiadaczem czterech *S* — „*Sano, solo, solicito, secreto.*“ *) Dobrze! Posłuchaj więc rady starego człowieka i zużytkuj ją. Przeistocz jej słabość... hm!... może to za ostre słowo... próżne zapędy jej młodości w podporę jej wieku, hm?

Artur uśmiechnął się. Przypomniał on sobie, jak stary człowiek uniósł się niedawno, gdy mu przytoczył franklinowską zasadę. Wyciągnął się sentymentalno-komicznie na krześle i powiedział z udaną naturalnością:

— Ale jak, ojcze! jak?... jeżeli już w sercu mojem zamieszkało uczucie, całą moją istotę zapełniające. Nie będziesz mi przecież radził, bym się mu sprzeniewierzył? Precz z tą myślą!

Ojciec Filip nie śmiał się. Szczególnego rodzaju wyraz rozpostarł się na jego szerokiem, brunatnem, gładko wygolonem obliczu i zwykła powierzchowność dziecięcej prostoty i poważnej grzeczności znikła całkiem. Utkwił on małe swe czarne oczy w Artura i rzekł:

— Czy sądzisz, mój synu, żeś zdolny do podobnej namiętności? Czyś kiedy czuł skłonność, któraby była wyższą nad urok jaki przedstawia nowość, lub też któraby nie pochodziła z samolubnego zapędu?

Artur wstał nieco wymuszenie i rzekł:

— Mówiąc o jednym z moich klientów, który zarazem należy do waszej parafji, czy nie wpadliśmy w ton nazbyt poważny, mój ojcze? W każdym razie zabezpiecz mię pan od tego, bym nie wystąpił zmięszany przed damą, z którą mam mieć jutro rozmowę o interesach... A teraz, szanowny ojcze, pomów o dokumentach — ciągnął dalej, odzyskawszy poprzednią swą niewymuszoność. Ja przypuszczam, że niewidzialna piękność zaopatrzyła się we wszelkie niezbędne dla protokołu skrypta. Proszę zaczynać. Jestem całkiem na usługi.

— Znowu jesteś w błędzie mój synu, rzekł ojciec Filipe. W obecnej sprawie okazała ona więcej aniżeli kiedykolwiek wstrętu do ustnych rozpraw. Sądzę nawet, że bez mego pośrednictwa zrzekłaby się dochodzenia swych prawnych pretensyj. Sądzę, że życzy sobie w obecnym wypadku z łotrem — przebacz mi — z tym, chciałem powiedzieć, hm... z tym, który wyrwał z jej rąk tytuł własności, wejść w układy. Ja wszakże nie mam tu nic do czynienia! Wszystkie akta, wszystkie dane znajdują się w ręku znajomej pana, pani Sepulvida. Zobaczysz się pan z nią i rozmówisz. Zapewniam cię, mój młody przyjacielu, że zawód, który stał się twoim udziałem, co do twej indyjskiej klientki sowicie zostanie wynagrodzony przez kobietę należącą do tejże co ty rasy, tejże co i ty cery, tegoż samego ludu — przez donnę Marję. Zapomnij, jeżeli wiesz, to com powiedział; ale pewno nie będziesz mógł uczynić tego. O, don Arturo! ja znam cię lepiej aniżeli ty sam. Chodźmy do ogrodu, nie widziałeś jeszcze winnicy. Mam nowy rodzaj winogron, który nie jest ci jeszcze znany.

— Nie znam nic lepszego nad stare misyjne winogrona, szanowny ojcze, odrzekł Artur, gdy poszli aleją ocienioną oliwnemi drzewami.

— A! a jednak nie były one znane krajowcom! Cenili oni dziko rosnący winograd tylko dla barwnika zawierającego się w jego owocu. Z niego i jeszcze z jakiegoś specyfiku, do dziś dnia będącego tajemnicą, wyrabiali substancję, którą malowali swe ciało aby podnieść jego miedzianą barwę. Ale ty mnie nie słuchasz don Arturo? A jednak powinnoby cię to interesować, ponieważ taką jest cera twej tajemniczej klientki, donny Dolores.

Tak rozmawiając i zwracając uwagę na rozmaite przedmioty mogące obchodzić Artura, poczynając od obciążonych owocem drzew figowych, aż do szczeliny powstałej w ścianie podczas ostatniego trzęsienia ziemi, oprowadzał ojciec Felipe z właściwą sobie grzecznością, młodego swego przyjaciela po staroświeckim ogrodzie misji.

Stopniowo powróciła dawniejsza niewymuszoność i wzajemne zaufanie między obydwoma, i gdy po niejakiem czasie ojciec Felipe oddalił się na kilka chwil, ażeby wydać niektóre domowe rozporządzenia, z powodu przybycia gościa, ostateczne porozumienie zupełnie zostało przywrócone.

Zostawszy sam, Artur poszedł powoli nazad, i znalazł się przed drzwiami zakrystji. Tu stanął, a po chwili, ulegając jakiemuś nagłemu usposobieniu, wszedł do środka. Staroświecki kościół, tak samo jak inne znajdujące się w San-Antonio, pozostał bez zmiany w ostatnich stu latach; mało w nim znajdowało się takiego, czegoby Artur nie widział już w innych miejscach. Tam ukazywało się stare belkowanie dachu w całym swym barbarzyńskim przepychu w czerwone i czarne szlaki pomalowane; nieruchome i brzydkie posągi świętych wyglądały z nisz; Bogarodzica w przestronnej sukni i w atłasowych pantoflach; Zbawiciel w bogatych koronkowych mankietach; Magdalena w modnym stroju hiszpańskiej damy zeszłego stulecia. Mnóstwo było szkaradnych obrazów; naturalnej wielkości portret miejscowego patrona; dzieje męczenników, malowane z całym przerażającym realizmem i niezbędny „Sąd ostateczny“ z okropnemi szczegółami.

Ale w dolnej części nawy kościelnej znajdowało się jedno malowidło, które zwróciło na siebie błąkające się obojętnie dotąd oczy Artura. Przedstawiało ono Junipera Serra, nawracającego pogan. Obawiam się wszakże, że wcale nie bohaterska i podziwu godna postać misjonarza, zajęła Artura; nawet najzupełniej pewny jestem, iż przyczyną tego nie był sens moralny zawarty w samym przedmiocie obrazu, ale raczej wysmukła, dziewicza, wdzięczna postać napół obnażonej Indjanki, która z dziecinną trwogą i skruchą klęczała u nóg ojca Junipera Serry. W oczach młodej dziewczyny była taka głębia pokutnego błagania, tak niezgodna z wyrazem dziewiczej nie-

*) *Manifest destiny* (widoczne przeznaczenie), teorja bardzo rozpowszechniona w Stanach Zjednoczonych, polega na tem, że Stany te są wskutek geograficznych i innych stosunków, „widocznie przeznaczone“ do objęcia związkiem swym wszystkich ziem leżących na północ od Panamskiego przesmyku.

*) Zdrowy, bezżenny, oględny, milczący. P. T.

winności cudnie pięknej istoty, iż Artur wpatrzywszy się w nią uczuł jak mu serce bić poczęło. Szybko odwrócił się ku drugiemu obrazowi; ale w którą stronę ni zwracał oczy, zdawało mu się, że łagodny wzrok pokutującej Indjanki ciągle nań jest zwrócony.

Sądzę, że już dostatecznie wykazałem, że natura jego nie bardzo była dostępną wrażeniom religijnym. Chociaż łączył on z żywą wyobraźnią wysoko poetyczną wrażliwość, jednak widocznie ani zamiar leżący w treści obrazu, ani przeświadczenie, że znajduje się w świętem miejscu nie oddziałały na jego serce i umysł. Pomimo to wszakże padł on na pół nieprzytomny na ławkę, skrzyżował ręce na poręczy przed sobą i głowę swą oparł o nie.

Wtem miękka ręka dotknęła jego ramienia i wyrwała z marzeń.

Szybko podniósł oczy i spotkał się z oczyma ojca Felipe, czule na niego spoglądającemi, co go opamiętało i zarazem rozgniewało.

— Przebacz mi, mój synu, rzekł ojciec Felipe łagodnie, żem przerwał twe rozmyślania.

Cokolwiek za cierpko, co nie było zwyczajnem w jego zachowaniu się względem ojca Felipe, oświadczył Artur, iż rozmyślał o jednym bardzo zawiłym wypadku prawnym.

— Czy tak!... rzekł Felipe mrugając oczyma... — Potem wziął za rękę młodego człowieka i oba powoli znowu wyszli na słoneczne światło.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Marcholt. Przedruk homograficzny z egzemplarza prof. J. Przyborowskiego objaśnił Dr. Zygmunt Celichowski. Poznań — 1876 — Nakładem bibl. Kórnickiej.*)

Na podstawie dzieła Bandtkiego, wydanego w r. 1815 p. t. „Historja drukarń krakowskich,“ uważano powszechnie aż do r. 1840 „*Żywot wszechmocnego syna bożego, pana Jezu Krysta*“ za pierwszą po polsku drukowaną książkę. Żywot ten przełożył z łacińskiego Baltazar Opeć, a drukarz krakowski Hieronim Wietor ogłosił drukiem r. 1522.

W przedmowie Wietora do Żywota Chrystusa czytamy:

„Żadnemu mniemam być niewiadomo, z iàkimi trudnosciami, y znakłady niepospolitego przemożenia własnemi moimi, ty nynieysse blogosłàwione xięgi o zywocie pańskim, tymi literami nowo nàleźionymi, owsseyki w krainach Niemieckich śláchetnymi, y tudziess ku okrasie języka tego sláwętnego (iakożem to sserzey przy xięgach Salomonowych rozwodził) nieco też nowego przydawaiąc, pilnie z wielkim potem à skonànim pràsàmi nassemi są wyrobiony...“

Z przedmowy tej okazuje się widocznie, że druk Ksiąg Salomonowych poprzedził wyjście Żywota Chrystusa Pana.

Hr. Włodzimierz Dzieduszycki posiada na własność owe księgi Salomonowe, które poprzedziły Żywot Chrystusa. Tłumaczenia z języka łacińskiego na polski dokonał Hieronim z Wielunia. Księgi Salomonowe czyli Ecclesiastes, chociaż w tym samym roku wydane co przekład Opecia, są wcześniejsze. — Wiadomość o Księgach Salomonowych podał Władysław Zawadzki w Dzienniku Literackim 1859. N. 4 i 5.

W r. 1840 Michał Poliński, były prof. uniw. wileń. wynalazł i ogłosił w „Wizerunkach Naukowych Wileńskich: Poczet nowy drugi. Tomik piętnasty“ Marcholta kartki początkowe. Na głównej stronie karty tytułowej z góry w pięciu wierszach tytuł jest taki: „Rozmowy które myał Krol Salomon mądry z marchołtem grubym a sprosnym, à wssakoż iako o nyem powyedàią barzo zwymownym zfigurami y zgadkàmi smyessnymi.“ Pod tym tytułem resztę strony zajmuje czworoboczna rycina, przedstawiająca Marcholta między dwoma drzewami, nizkiego, grubego, z wielką głową okrytą gęstemi włosami, z ogoloną brodą, liczącego coś na palcach. W półbutach odziany krótką suknią, u pasa z prawej strony wisi kaletka, z przodu nóż długi w pokrowcu. Z dwóch stron jego głowy są dwie sroki, niżej ul z pszczołami, zając w biegu i wąż w trawie. Strona odwrotna karty tytułowej zamyka przypisanie dzieła „Wielmożney y slàchetney pànyey Annye z Jàrosławia Kasstelance Woynickiey, Spiskiey etc.“ Dedykacja ta kończy się na stronie trzeciej temi słowy: „Dan list z domu nasshego we Wtorek przed świętym Thoma, àpostołem, Lata bozego nàrodzenia 1521.“

Dzieło to o królu Salomonie i Marchołcie wytłumaczył z niemieckiego Jan bakałarz z Koszyczek.

Najdawniejsze zabytki przypowieści Salomonowych przerobionych w ten sposób, jak je w polskim znamy przekładzie, znajdują się już w XI w. w języku anglo-saksońskim, znane pod nazwą rozmów Salomona z Saturnem. We Francji w XII w. napisany był djalog: „Dits de Salomon et de Marcol“ wierszem. Zaraz po upowszechnieniu druku w końcu XV i na początku XVI w. we wszystkich krajach Europy był osobliwy ten djalog wielokrotnie drukowany. W bibljograficznym leksykonie Eberta znajdujemy opisanych 18 rozmaitych wydań Marcholtowych rozmów. U Słowian naprzód u Polaków pokazało się Wietorowskie wydanie Marcholta w r. 1521 a potem dopiero czeskie r. 1587.

Rozmowy Salomona z Marcholtem, które tak długo w Niemczech podobały się ludowi, przełożone na język polski, nie znalazły u nas echa, różny bowiem był charakter narodu. Tłumacz Jan z Koszyczek przysłowia, z któremi Marcholt na wyścigi z Salomonem się popisują, dosyć dobrze przetłumaczył, a niektóre polskiemi zastąpił. Styl w Marchołcie ukazuje się zupełnie dojrzałym, czystym, płynnym, a prostota wyrażeń przypomina prostotę wysłowiania ewangelicznego. Ryciny do Marchołta podają nam wiele nader ciekawych szczegółów co do ubiorów i pomieszkań, które podobne będąc do dzisiaj używanych nietylko nas przekonywają, że mamy przed oczyma krajowe drzeworyty, lecz są oraz szacownym rysunkowym zabytkiem owoczesnych ubiorów i urządzeń.

Całego egzemplarza Marchołta dotąd nie odkryto. Lelewel widział kilka tylko kart środkowych tej książki, i nie przeczuwając może nawet, iż stanowią one zabytek najdawniejszy sztuki drukarskiej u nas, w księgach bibljograficznych opisał. Jan Chyliczkowski w Warszawie posiadał ten fragment o 4 kartkach, z którego Lelewel w księgach korzystał. Od Jana Chyliczkowskiego przeszedł ów fragment w ręce p. Karola Bayera a od tegoż do Józefa Przyborowskiego. Jan hr. Działyński, właściciel bibljoteki Kórnickiej chcąc zabytek ten rozpowszechnić i zachować, postanowił go ogłosić w przedruku homograficznym. Przedrukiem tym i objaśnieniem zajął się Dr. Celichowski. W przedruku tym został także pomieszczony i ów fragment Polińskiego, ogłoszony w Wizerunkach i Roztrząsaniach naukowych. Urywki jednak Polińskiego i Przyborowskiego nie pochodzą z jednego i tego samego wydania, lecz z dwóch, które atoli bardzo krótkim przeciągiem czasu są od siebie oddalone. Fragment Polińskiego jest wcześniejszy. Prócz tego w edycji Kórnickiej dodany jest koniec według wydania gdańskiego z r. 1607 i wrocławskiego z r. 1615; a dla czytelników nie dość obeznanych ze starą polszczyzną i spis wyrazów dzisiaj mniej znanych lub przestarzałych.

Marcholt uchodził przez długi czas potem za najpierwszą książkę po polsku drukowaną. Nowsze badania przekonały, że istnieją dawniejsze jeszcze druki polskie, nie mówiąc już o tych, które daleko wcześniej w języku łacińskim drukowane a które zamykają w sobie trochę polszczyzny. Książek takich, jako nie całych w polskim języku, do polskich książek i Bandtkie nie liczył.

Dr. E. Burzyński.

Pogadanki.

XI.

Jakiś duch niespokojny owładnął snać ze wszystkiem ks. Stojałowskiego. Nie dość, że go „nosił“ niedawno do Białej, w charakterze kandydata, że tłukł nim po trybunach i w ogóle dokazywał za jego pomocą takich rzeczy, o jakiebym porządnego ducha nigdy podejrzywać nie śmiał, skusił on go nadto do wydawania dwutygodnika „polityczno-polemicznego,“ który w równie oryginalny sposób dostaje się do rąk publiczności, jak anonse nadzwyczaj tanich składów bielizny, wtykane przechodniom na rogach ulic przez posługaczy publicznych. W środę np. pragnąc poinformować się zawczasu o najnowszych bezeceństwach, popełnionych przez Neo-polonów, kupiłem sobie za 8 centów czwartkowe wydanie *Gazety Narodowej.* Zaledwie odebrałem egzemplarz z rąk kolportera, gdy spostrzegłem, że był on nad wszelkie spodziewanie grubym i ciężkim — nie tą grubością moralną, którą odznacza się zazwyczaj *Narodówka*, ani tą ciężkością, która tkwi w rozumowaniach „naszych uczonych,“ piszących jej fejletony, ale w zwykłem, materjalnem znaczeniu słów: gruby i ciężki. Po bliższem zbadaniu przekonałem się, że *Gazeta* była tylko pokrywką, zawierającą dwa arkusze druku z pod prasy K. Budweisera — był to *Piast*, dwutygodnik księdza S. a mianowicie jego numer 3 zaopatrzony u góry ponętnym dodatkiem: *gratis.* Nie jestem w stanie opisać rozczulenia, jakiem byłem przejęty na myśl, że ks. Stojałowski nie tylko obsypuje nas kwiatami swojej wymowy w sali ratuszowej w chwilach, w których jako wyborcy mamy tam wstęp bezpłatny — zamiast np. wybierać koncerta i wieczorki muzykalne dla swoich popisów — ale co więcej, sam nie szczędzi grosza gwoli wybawienia nas z ciemnoty za pomocą czernidła drukarskiego.

Z wdzięczności, przeczytałem *Piasta* od początku do końca, i popełniłbym wielką niesumienność, gdybym nie przyznał, że znalazłem tam niejedną rzecz godną uwagi. Tyczy się to osobliwie ostatniego artykułu, donoszącego, że w Stryju jest na sprzedaż skład obuwia, przynoszący zna-

czną rentę. Do artykułu tego dołączoną jest rycina, przedstawiająca but w stanie zupełnego wykończenia. Rycina ta, poprzedzająca „spis treści,“ jest sama w sobie zbyt wymowną, bym miał tak efektowne zakończenie całego dzieła osłabiać jakiemikolwiek komentarzami z mojej strony. Cześć redaktorowi *Piasta*, cześć *Gazecie*, która pracę jego tuli pod kwocze swoje skrzydła!

* * *

Podczas gdy u nas duchy w ten sposób bezkarnie dokazują, co im się podoba, w Anglji sądy wzięły się do nich ostro. Od długiego już czasu grasuje tam spirytomania. Zdaje się, że w naturze ludzkiej leży pociąg do nadzwyczajności, obywającej się bez jakiegokolwiek logicznego i faktycznego uzasadnienia. Ponieważ rygoryzm protestancki wyklucza dziwy tego rodzaju z pola dogmatów i praktyk religijnych, więc obrały one sobie pozakościelną sferę działania. To tłumaczy nam, dlaczego spirytyści bez porównania mniej adeptów znachodzą u nas, we Włoszech, we Francji i w Hiszpanji, podczas gdy Anglja, Szkocja i Zjednoczone Stany są dla nich niejako ziemią obiecaną. Wyszły już na jaw bardzo jaskrawe przykłady oszukaństwa, którego dopuszczają się wywoływacze duchów, ale nie wystarczyły do osłabienia wiary w ludziach, którzy widocznie pragną być oszukiwanymi. Obecnie niejaki dr. Slade i pomocnik jego Simmons odpowiadają przed sądem policji poprawczej w Londynie za niezręczność swoją w manipulacji z tabliczkami, na których duchy korespondować miały z żyjącymi i płacącymi klientami. P. Slade w oczach klienta wycierał tabliczkę mokrą gąbką, a pokazawszy mu ją, trzymał ją jakiś czas pod stołem i wyjmował zapisaną przez ducha, biegłego w trudnej pisowni angielskiej. Nareszcie jakiś niedowiarek odkrył, że gąbka zwilżona była nie wodą, ale spirytusem, który na razie czynił wprawdzie niewidzialnem pismo, poprzednio już gryflem na tablicy przygotowane, ale ulatniał się szybko, poczem pismo ukazywało się na nowo. Prawnicy spierają się o to, na zasadzie jakiej ustawy oszust ma być ukaranym. Niektórzy wydobyli stary dekret, wydany za panowania Jerzego II przeciw czarownictwu (*witchcraft*) i naznaczający dla przestępców rok więzienia, wraz z wystawieniem na pręgierzu na początku każdego kwartału. Zdaje się wszelako, że sąd traktować będzie sprawę jak każde inne oszustwo, zmierzające do wyłudzenia pieniędzy.

Mam nadzieję, że w najbliższym bezpłatnym numerze Piasta ks. Stojałowski zechce mię zapewnić, iż w krajach, w których kacerstwo luterskie i kalwińskie nie jest rozpowszechnionem, nie ma oszustów bezpiecznie żyjących pod opieką praw umyślnie na ich korzyść ułożonych, a równie jak dr. Slade pośredniczących w załatwianiu interesów między żywymi a umarłymi. Chcę wierzyć, że nie ma takich oszustów, ale zawsze dla pewności, radbym mieć na to słowo ks Stojałowskiego.

* * *

Temi dniami jeden tylko cud wydarzył się we Lwowie. Organ potępiający Neo-polonów za ich zamiłowanie w literaturze zagranicznej, nietylko zdradził pewną znajomość tej literatury, ale nawet wyraźnie powołał się na Göthego, jako na powagę. *Dziennik Polski* zrobił był uwagę, że dramat W. Sardou „Nienawiść“ potrzebuje wielkiej wystawy. Na to odparła *G. Nar.* kilkoma trafnemi uwagami, opartemi na tym pewniku, że sztuki w których wystawa odgrywa główną rolę, pozbawione są wszelkiej wyższej wartości i przyczyniają się do tego zepsucia smaku, jakie się za naszych czasów tak ogólnie spostrzegać daje. Ale *Gazeta* poszła jeszcze dalej, i przytoczyła zdanie *Göthego*, który pragnął, by role kobiece powierzano mężczyznom, dla zmniejszenia dystrakcji, odrywającej widzów od treści sztuki. Byłoby w istocie rzeczą dla wszystkich dyrektorów niezmiernie wygodną, gdyby sztukę dramatyczną zreformowano w tym kierunku, tj. gdyby Koncewicz mógł grać Marję Stuart a Zamojski „Terenię w kłopotach.“ Zdaje się wszakże, że idealne pojmowanie dramatu w duchu Göthego nie przyjmie się chyba nigdy, i że będziemy zawsze wymagali od teatru jak najzupełniejszego złudzenia wszystkich naszych zmysłów. Dla tego też kostjumy, dekoracje, powierzchowność aktorów itp. odgrywać będą zawsze nie małą rolę w budżecie kłopotów i wydatków każdego dyrektora, i zawsze zostanie to prawidłem niemal świętem, że im więcej wartości ma sztuka, tem więcej staranności winno być we wszystkich, najdrobniejszych nawet szczegółach. Inną znowu rzeczą jest to, że sztuk bez wartości wewnętrznej, stojących tylko wystawą i dekoracjami, przedstawiać się nie powinno. Jeżeli się nie mylę, taki był sens uwag *Dz. Polskiego*, przeciw którym, *Gazeta* w przystępie neo-polactwa, zawezwała na pomoc powagę pisarza, ze wszystkich Niemców najbardziej nawskróś niemieckiego.

* * *

Sztuka polska zbiera w tej chwili wawrzyny w mieście, w którem polityka polska wzbrania się tak ostentacyjnie wyjrzeć z poza kulis. Obraz Siemiradzkiego „Żywe pochodnie Nerona“ ściąga tłumy publiczności do *Künstlerhaus* we Wiedniu. Liczba zwidzających wystawę dochodzi do 2000 dziennie. Krytyka wiedeńska, pod względem techniki, stawia Siemiradzkiego obok Matejki. Dodaje ona tylko, że pod względom siły charakteryzacji i mistrzowstwa w oddaniu uczuć i namiętności, młodszy artysta polski nie dorównał starszemu — jak na teraz. Na wszelki wypadek postęp zrobiony w dwóch latach, tj. od czasu pojawienia się „Jawnogrzesznicy“ ma być tak ogromnym, że uprawnia do jak największych nadziei. Największą pochwałę oddał Siemiradzkiemu p. Ranzoni w *N. fr. Presse*, kończąc krytykę swoją temi słowami, że o innych obrazach na wystawie znajdujących się tym razem nie wspomina, bo do pracy Siemiradzkiego przyłączył tak wielką skalę wymagań, że byłoby niesłusznością przykładać ją do słabszych talentów. Ciekawa rzecz, czyli zarząd naszego Tow. sztuk pięknych postara się o to, byśmy mogli „Żywe pochodnie Nerona“ oglądać we Lwowie?

Jan Lam.

O potrzebie rozwoju przemysłu małego
czyli drobnego w Galicji

napisał

JAN NEP. Z OLEKSOWA GNIEWOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Przy dalszym rozwoju przemysłu drzewnego twierdzę, że wyrób instrumentów muzycznych mógłby się również rozwinąć i uzyskać rację bytu tak samo, jak snycerstwo.

Zdanie to opieram na przekonaniu naocznem. Widziałem w zeszłym roku w Beskidach kilka skrzypiec, sfabrykowanych przez pastuchów w górach pod Iwoniczem, względnie z taką stosunkową dokładnością, którejby się rękodzielnik z profesji nie powstydził. Mówię „względnie“ bo jeżeli zważymy, że fabrykantowi służył jedynie kozik kupiony za kilka centów, to z jakążby precyzją wykonał dzieło swoje, gdyby miał potrzebne narzędzia i wzór przedmiotu.

Do przemysłu drzewnego domowego zaliczę jeszcze wyroby lasek, cybuchów i fajek. Materjał główny na całym łańcuchu Karpat, zacząwszy od niewyczerpanej mnogości jałowców, aż do licznej gromady górskich krzewów, zaspokoi najwybredniejsze wymagania producenta. Rzućmy znowu okiem po naszych handlach, a zdumienie nas ogarnie, jakie sumy wychodzą za te artykuły bezpowrotnie z kraju.

Naszkicowawszy tu obrazek przemysłu małego drzewnego uważam, że gdyby choć w połowie znalazł zastosowanie, jużby wydał korzystne owoce.

Wracam do huculów, jako podwaliny mej wiary, że ztamtąd szybkim prądem, jak wody Czeremoszu, Prutu i Bystrzycy, spływać będzie i rozlewać się przemysł nawet po za horyzont Galicji, jeżeli u nas zrodzi się silne postanowienie podania temuż bratniej ręki.

Chcąc uwidocznić instynktową inteligencję hucuła, przypatrzmy się tym pięknym okazom, których wartość ocenił jeden z najszlachetniejszych mężów *). Ukochawszy całą siłą duszy przyrodę i lud polskiej ziemi, mrówczą pracą całego żywota zbiera grudkę po grudce do narodowej skarbony, aby wskazać, jakie żywotne siły są w naszem posiadaniu, i że od nas tylko zależy podnieść takowe dla wspólnego dobra. Część zbiorów etnograficznych w muzeum lwowskiem tego obywatela, wlewa wiarę we wrodzoną inteligencję naszego ludu.

I tak, hucuł chcąc się ubrać nie szuka obcych jarmarków i sklepów z towarami, bo od czegoż hoduje owce i kozy, sieje len i konopie? Postrzyże wełny i po zebraniu włókien zaraz je przędzie; następnie buduje krosna, na których tka płótno i sukna — potem blichuje, foluje; ponieważ lubi żywe barwy, poznał więc własność różnych krzewów, ziół i ziemi, z których wyciąga barwniki, aby tkaninom nadać kolorów. Sam nareszcie jest krawcem a żona hafciarką; ale w ozdobach ubioru huculskiego odgrywa ważną rolę i metalurgia. Gdzie jej pierwszy hucuł słuchał i uczył się, trudno oznaczyć; najprędzej, odbywając podróż do swego Paryża, który Kołomyją zwiemy, podpatrzył przez kilka godzin jakiego mosiężnika, ludwisarza lub puszkarza, a resztę edukacji własnym sprytem dopełnił. **)

Znam nie jednego takiego metalurga wzdłuż łańcucha karpackiego, który sam wynalazł glinę

*) Hr. Włodzimierz Dzieduszycki.

**) W muzeum przemysłowem lwowskiem zwraca uwagę para pistoletów z lufami mosiężnemi grawerowanemi, a oprawa z drzewa wyłożona inkrustacjami tegoż metalu. Pistolety te zwracały już uwagę na siebie na wystawie światowej we Wiedniu. Praca ta jest w zupełnej całości domorosłego puszkarza, hucuła z pod Czarnej góry. Lufy ulał ze zbieranych przez lata mosiężnych guzików, wywiercił, wypolerował i wykończył wszystko z szczególną precyzją. Pistolety te są również darem hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego.

*

ogniotrwałą, ulepił z niej tygiel, wysuszył go i wypalił; następnie wymodelował formę, a nazbierawszy guzików mosiężnych, lub poświęciwszy na ten cel pewną ilość monety miedzianej, ulał krzyż i wycyzelował rylcem zrobionym z szewskiego szydła. Krzyż ten poświęcił mu proboszcz w cerkwi, tam go pierwszy raz na piersi zawiesił i odszedł w przekonaniu, że ten talizman wiary chronić go będzie od złego. Prochownice huculskie są często takiemi arcydziełami, którychby się żadne muzeum europejskie nie powstydziło.

Tu podajemy myśl, że założenie fabryki zegarów ściennych, których monopol dotychczas dzierży w. ks. Badeńskie w okolicach Czarnego Lasu (Schwarzwald), doprowadziłoby do pożądanych rozmiarów. Uwzględnijmy, że Kraków, Tarnów, Przemyśl, Lwów, Stanisławów, Czerniowce i Brody sprzedają rocznie przeszło 12 000 zegarów ściennych i stołowych „szwarcwaldzkich" dla Galicji, Kongresówki, krajów zabranych i Bukowiny a uznamy, że gałąź tego przemysłu niewymagając bynajmniej, jakby się komu zdawać mogło, sum bajońskich, zatrudniłaby z czasem kilka tysięcy ludności górskiej.

Wskazówka ta nie powinna być pominiętą, bo jest łatwiejszą do uskutecznienia, aniżeli wiele innych przedsiębiorstw, na które kraj nasz w perjodycznych porywach choruje.

Do przemysłu górskiego, szczególniej w okolicy Czarnej góry, zaliczyć wypada także systematyczne zużytkowywanie roślinności, mianowicie roślin i porostów lekarskich.

Zestawienie cyfer, ile rocznie apteki nasze sprowadzają arniki, mchu islandzkiego, gencyany i t. p., w które góry nasze obfitują, zatrzymałyby tak samo rok rocznie stałe sumy i utworzyłyby zysk czysty.

Miejscowości, w którychby korzystnie stanąć mogły fabryki górskie tkanin wełnianych, pod Czarną górą są zdaniem mojem: dolny, wyższy i średni Berezów pomiędzy Delatynem a Peczyniżynem. Miejscowość ta zamieszkała od kilku wieków przez huculów, szlachtę zaściankową, stanowi bezwarunkowo najwydatniejszy typ inteligencji górskiej; potem następują Kosmacz i Żabie.

Początkowo zastanawiano się u nas nad zaprowadzeniem w górach wyrobu koronek, który to wyrób mógłby posłużyć kobietom za źródło zarobku. Myśl ta zbawienna została zamienioną w czyn przez panią Honoratę z Stacherskich Łukasiewiczowę w Horchówce, powiecie krośniańskim. Obywatelka ta, znana ze swej pracy około podniesienia ludu, sprowadziła z Wielkopolski jednę z wydalonych zakonnic, biegłą w wyrobie koronek, i na dniu 2. stycznia r. z. oddała jej kilkanaście dziewcząteк od 8 do 12 lat wieku; nauka odbywa się we dworze pod dozorem samej założycielki szkółki. Po dwóch tygodniach nauki widziałem na miejscu pracujące uczennice; z nieopisanem zdumieniem nabyliśmy nowego przekonania, że wrodzone zdolności do przemysłu są u naszego ludu daleko wybitniejsze, aniżeli u któregokolwiek z innych narodów Europy; bo zważywszy technikę robót koronkarskich, gdzie potrzeba władać od kilkunastu do kilkudziesięciu promieniami nitek przyczepionych do okrągłego wałka, na którym podług danego wzoru zatkniętych jest mnóstwo szpilek, i aby na nich przekładać całe pasmo nitek obciążonych małemi klockami, potrzeba nietylko bystrości oka, lecz szczególnego pojęcia, inaczej bowiem nie nabędzie się wprawy. Proszę więc sobie wystawić nasze zdumienie, gdy po dwutygodniowej nauce ujrzeliśmy nawet ośmioletnie dziewczęta ze spokojem i zupełną swobodą robiące koronki drobnemi rączkami. Z dwutygodniowej szkółki zabraliśmy sześć okazów koronek dla Muzeum przemysłowego we Lwowie tak wykończonych, że już dzisiaj mogą stanowić przedmiot handlowy. Znając wytrwałość szanownej założycielki tej szkółki, przekonani jesteśmy, że po roku Horchówka będzie mogła rozesłać kilkanaście nauczycielek wzdłuż łańcucha górskiego, a przynajmniej stanie się ważnem ogniskiem tej gałęzi przemysłu kobiecego w górach. Drugiem takiem ogniskiem jest od dawna miasteczko Bobowa w Sandeckiem, gdzie już kilkaset wprawnych rąk stanowi poważną kolonję przemysłową. Lecz niestety, oprócz szczerych chęci i zamiłowania do pracy, wyrób koronek tamże stoi na nader niskim stopniu, albowiem nikogo dotąd nie było, ktoby chciał dać wskazówki do produkcji, odpowiadającej wymaganiom odbiorców. Koronkarstwo, umiętnie prowadzone, po kilku latach mogłoby u nas z największą pewnością stać się artykułem wywozowym.

Przed kilku laty jadąc do Wiednia porą zimową, poznałem w jednym z towarzyszów podróży młodego obywatela z Kut, pod Czarną górą; od niego dowiedziałem się, że jeździ do stolicy państwa rok rocznie dla sprzedaży produktu handlowego, z którym zaledwie okolice najbliższe Kut są obznajomione. Jak wiadomo, okolice Czarnej góry, mianowicie Kuty, Kosów, Jabłonów, wybijają w jesieni tysiące owiec i kóz, którymto przemysłem trudnią się najwięcej rodziny ormiańskie, należące do szczepu wielce przemysłowego. Otóż nie chcąc nic zmarnować, zużytkowują kiszki z owiec i kóz, które oczyszczone i wysuszone pakują w beczki wywożąc je do Wiednia, jako bardzo cenny artykuł handlowy do fabrykacji strun używanych przy instrumentach muzycznych. Jak nam wiadomo, fabrykacja strun nie potrzebuje wielkich nakładów i maszyneryj, tylko wprawy i doświadczenia, a znajduje odbyt po całej kuli ziemskiej. Gdyby więc była możność sprowadzenia chociaż jednego przemysłowca i nauczyciela tak samo, jak do szkoły koronek, zyskalibyśmy nowe źródło przemysłu, któreby w setkach rąk kobiecych wzrosło i rozlewało dobrobyt po górach.

Oprócz wskazówek podanych dotąd ku rozwinięciu przemysłu górskiego, mamy jeszcze wiele danych, które uwydatnią się dopiero w poglądzie na przemysł drobny, jaki powinien rozwinąć się na równinach. Tam znajdziemy liczny materjał i bogate zasoby surowych produktów wywożonych od nas za granice kraju, zkąd wykończone powracają na nasze targi i bywają sprzedawane po wysokich cenach. Otóż nabyliśmy i w tym wypadku przekonania, że siły inteligentne ludu naszego, są daleko więcej rozwinięte w górach, a stosunkowo najmniej na równinach. Tak więc i przemysł drobny winien być mianowicie w początkach podzielony — że tak powiem — na strefy geograficzne inteligencji przemysłowej, przez co zaprowadzimy pewien systematyczny ład i rozkład pracy. Z czasem dopiero dójść można będzie do równowagi na całej przestrzeni. Lud na równinach przerabiający produkta surowe, jakie ma pod ręką, nie oprze się pokusie, aby mając przykłady tuż pod bokiem i widząc oczywisty zysk materjalny, nie poszedł w te same tory.

(C. d. n.)

Listy ze świata.

Paryż w październiku 1876 r.

Wiek nasz jest przedewszystkiem wiekiem szperań i poszukiwań w popiołach przeszłości. Przeszłość ta, zaniedbywana przez dość długi przeciąg czasu, lub kultywowana w sposób nader ograniczony i wyjątkowy, ogólne dziś wzbudza zajęcie. Sfera archeologji, zamiast jak dawniej zasklepiać się w granicach starożytnej Grecji, Egiptu lub Rzymu, rozszerza się na świat cały. Nietylko już wielkie aglomeracje narodowe, jak Włochy, Anglja, Niemcy lub Francja, lecz i drobne plemiona, poczuwają się do obowiązku badania swych początków i wywlekania na jaw tego, co minione dawno wieki złożyły po zapomnianych cmentarzyskach. Rzecz naturalna, że jak wszędzie tak i tutaj praca nie równa się pracy pod względem uzyskanych rezultatów. Jedni mając do czynienia ze złotą rudą, złote na zewnątrz wyciągają bryły; drudzy, w uboższych kopiąc rumowiskach, od czasu do czasu tylko, skromną żelaza lub ołowiu wydobędą grudkę. Cóż ztąd? W obliczu swoich, w obliczu tych, dla których pracowali, zasługa ich niemniejsze ma znaczenie i potomność ocenić ją potrafi. Stugębna wprawdzie fama roznosi szeroko nazwiska tych, którzy w Herkulanum i Pompei wygrzebują wspomnienia, którzy piramid i sfinxów egipskich wyczytują hieroglify, którzy nakoniec Trojańskie króla Priama światu powracają skarby; imiona zaś obskurnych poszukiwaczów mniej słynnych pamiątek, w miejscowych tylko specjalistów przechowują się kole. Mniejsza i o to. Istotną nagrodą poczciwej pracy nie jest sława, ale korzyść kółka, dla którego się jej podjęło.

Plemię fińskie, sąsiednie nam, bo zamieszkujące przeważnie Inflanty, Kurlandję, Liwonję, Estlandję, Ingrję, Finlandję, Laponję i rozsiane przytem po nad Wołgą, a nawet w Węgrzech, plemię to jedne z najstarszych w Europie, bo osiadłe w niej, jak nowsze wykazują poszukiwania, przed wielką wędrówką narodów, odkąd dziejów datują wspomnienia, nigdy na samoistną nie zdobyło się egzystencję. Zanadto słabe, zbyt mało wojownicze, by oprzeć się silniejszym i energiczniejszym przybyszom ze wschodu, uległo im i wyparte na północ w lody podbiegunowe, wegetowało odtąd żywotem roślinnym, bez podań, bez dziejów, bez wszelakiej ustnej nawet literatury.

Dążenia jednak wieku i w tej zapadłej krainie zdołały wywołać ciche echo. Spiąca od niewiem wielu już stuleci dusza upośledzonego plemienia, zaczęła się przebudzać, a naturalnemu ulegając prawu i zwracając się ku kołysce swojej, ku zatraconym legendom przeszłości, zaczęła szukać wśród nich podwalin do lepszego, bardziej człowieczego na przyszłość bytu. W dziele tem odrodzenia, Finlandja (po fińsku „Suomi") prowincja względną ciesząca się autonomją, pierwszą i najczynniejszą odgrywa rolę. W jej to granicach wyłącznie, język fiński gminnem już tylko i oddawna zaniedbanem będący narzeczem, odważa się na pierwsze próby piśmiennicze. W jej to granicach wspomniane wyżej archeologiczne poszukiwania pamiątek przeszłości, najszerszem i najśmielszem zakreślają się kołem. Przeczytawszy kilka dość ciekawych prac tej treści, w rzędzie innych tłumaczenie narodowej fińskiej epopei *Kalewala* przez p. Léouzon-Leduc, uznaliśmy za stosowne podzielić się z wami wyniesionem z nich wrażeniem.

Pierwszym inicjatorem obecnego ruchu był koło r. 1820 niejaki doktor Topelius mieszkaniec Helsingforsu. Ciągle podróżując od granic Norwegji aż do pierwszych wzgórzów Altaju, zebrał był sporą kollekcję starych legend, bajek i pieśni, nie wiążących się wprawdzie w żadną jednolitą całość, lecz pozwalających już przeczuć takową i ułatwiających dalszą drogę tym, którzyby potem do tegoż samego zmierzać chcieli celu. Tak się też stało. Sukcesorem, dopełnicielem Topelius'a był w r. 1828 doktor Lonnrot z Abo. Korzystając ze zbiorów swego poprzednika, uzupełniając takowe własnemi poszukiwaniami, nadał on całej pracy charakter jednolitości, na którym jej dotychczas zbywało, i koło 1835 r. wydał naprzód *Kantelara* (Harfjarz od „Kantele" Harfa) rodzaj piosennika gminnego, a potem wielką narodową epopeją w 50ciu „runoja" (pieśniach) pod tytułem *Kalewala*. Ta ostatnia, mieszcząca w sobie wszystkie mitologiczno-religijne pojęcia szczepu, silne wywarła wrażenie i była jak gdyby hasłem do dalszych po-

szukiwań w tym samym kierunku. Uczeni krytycy niemieccy, Jakób Grimm na ich czele, wielkie przyznali jej znaczenie i porównywując ją z epopejami indyjskiemi *Ramajana i Mahabharata* na pokrewne między niemi doszli podobieństwo. Duchowieństwo natomiast prawosławne w przewidywaniu niepomyślnych dla siebie konsekwencyj, całe to wydawnictwo i dalsze nad niem prace surową obłożyło anatemą. Protestancka w przeważnej większości ludność Finlandji, mało na to zwracając uwagi, rozpłomieniona dotychczasowem powodzeniem, do nowych szperań z tem większą rzuciła się ochotą. Uniwersytet Helsingforski nie szczędząc kosztów, wysłał na Wschód niezmordowanego podróżnika doktora Castren, który grzbietem Altaju, brzegami Wołgi i Kamy, przez stepy środkowej Azji, przedarł się aż do stóp Himalaju, szukając w tej kolebce wszystkich prawie ras, zamieszkujących dziś Europę, początków swego plemienia. Poszukiwania jego nie były bezowocnemi. Szereg podań mitologicznych i baśni ludowych, zebranych przez doktorów: Topeliusa i Lonnrotta uzupełnił się o wiele; doktor Kreutzwald wydał niedawno nowy zbiór takowych pod tytułem *Kalewi-Poeg*, czyli: Dalszy ciąg *Kalewali*. Odtąd cała suma uzyskanych już rezultatów z każdym dniem prawie, dodatkowemi wzbogacana odkryciami i komentowana starannie przez specjalistów całego świata, uzyskała pewne prawo obywatelstwa w dziedzinie ludzkiej wiedzy i ani zatartą, ani ignorowaną już być nie może. Niektórzy krytycy Zachodu chcieli widzieć w tem fabrykację podobną do tej, jakiej się dopuścił Mac-Pherson z *Ossjanem*, ale bliższe rozpatrzenie się w rzeczy zmusiło ich do cofnięcia tego zarzutu, i do przyznania jej niezaprzeczalnej autentyczności.

Pierwsza „runoja“ (pieśń) *Kalewali*, to kosmogoniczne pojęcia ludu. „Ilma,“ dziewica powietrza w przeciągu siedmiu wieków buja w przestrzeniach eteru, wzywając Boga Bogów „Ukkę.“ Pod koniec siódmego wieku przylatuje Mewa i składa na kolanach dziewicy siedm jajek. „Ilma“ strąca je w przestrzenie. Z jajek tych bądź utkwionych cało w eterze, bądź na drobne rozbitych okruszyny, powstają słońce, ziemia, księżyc i gwiazdy.

Jak widzicie, kabalistyczna liczba siedm, powtarzająca się we wszystkich prawie pierwotnych Teogoniach ras wszystkich, zjawia się tu na samym początku. „Ilma“ siedem wieków buja w eterze. (Biblja nam mówi o siedmiu dniach stworzenia). Mewa przynosi jej siedm twórczych jajek.

„Wainamoinen“ pierwszy człowiek, chociaż jeszcze zakrawający na pół-boga, i nadziemską obdarzony potęgą, jawi się w drugiej pieśni: dzieła i walki jego obfitej dostarczają jej treści. On pierwszy uprawia ziemię, od niego pierwszy wszystkich kunsztów i wszelkiego przemysłu datuje początek. On nareszcie z kości zabitego potworu morskiego, pierwszą wyrabia *Kantelę* (Harfę). Harfa ta w ręku jego, staje się narzędziem niesłychanej potęgi. Gardząc wszelkim innym orężem, on nią walczy i nią zwycięża. Na odgłos bowiem zaczarowanych jej dźwięków, tańczy wszystko dokoła: głazy, drzewa, zwierzęta, ludzie. Analogja z „Orfeuszem“ jasno uderza w oczy. Ma on przytem i inny jeszcze potężniejszy talizman, który się zowie *Sampo*. Co to jest *Sampo?* Odgadnąć trudno. Epopeja bowiem, mówiąc o nim często, nigdy go dokładnie nie określa.

Wędrując po świecie, Wainamoinen spotyka krainę zwaną *Kalewa* (ztąd tytuł całej epopei *Kalewala*, coś jak gdyby: Pieśń o *Kalewie*) i w niej funduje swoje panowanie. Kraina ta płynie mlekiem i miodem. Samych tylko wydaje bohaterów i pod słodkiemi rządami Wainamojnen'owskiej *Kantele* istotnym staje się rajem. Widoczne w tem wspomnienia jakiejś lepszej, zatraconej ojczyzny. Każda rasa mieni się „wybraną.“ Każda ma swoją „obiecaną ziemię“ swój Eden stracony. Kędy leżał Eden Fińczyków? Czy szukać go u stóp Himalaju? Czy widzieć go w Indjach, których czarowna przyroda porównana z mroźnem niebem Północy, wiecznie się przechowała w wygnańców pamięci? Niewiadomo. Geograficzne szczegóły w tego rodzaju podaniach nie odznaczają się zbytnią dokładnością.

Po kilkunastu pieśniach poświęconych opisowi „Kalewy“ i istniejącego w niej teokratycznego porządku; po śpiewach głoszących złoty wiek Fińskiej przeszłości, następują śpiewy malujące niezbędne wszędzie żelazne wieki, wieki błędów, walki i kary. *Sampo*, ów tajemniczy talizman, do którego przywiązanem jest widocznie szczęście plemienia, wskutek różnych wypadków, których opisywanie zaprowadziłoby nas za daleko wykradzionym jest przez mieszkańców krainy Pohja, przez ich króla czarnoksiężnika nazwiskiem Louhi. Rzecz naturalna, że bez *Sampo*, *Kalewa* egzystować nie zdoła, i że Wainamoinen puszcza się wyprawą w celu odzyskania utraconego podarunku Bogów. Z *Kantele* w dłoni idzie śpiewając, a cała natura przysłuchuje się ze współczuciem rzewnej jego piosence. Bogowie nawet pochylając się z góry nad natchnioną skronią śpiewaka rozrzewniają się i płaczą. A łzy ich spadając w morze, pereł je zasiewają mnóstwem.

Następują opisy walk homerycznych, staczanych o posiadanie zaklętego talizmanu. Cały świat widomy i niewidomy, na dwa nieprzyjazne dzieli się obozy. Co tylko jest jasnego i pięknego w naturze, to trzyma stronę Wainamoinen'a. Posępne duchy piekieł przeciwnie, jakoteż i jadowite a ohydne twory przyrody, ujmują się za czarnoksiężnikiem Louhi. Walka trwa długo, bardzo długo, z rozmaitemi przemianami. Pomyślny traf sprawia wreszcie, że utracony talizman wpada nazad w ręce prawnego posiadacza. Pragnąc drogocenną zdobycz jak najprędzej w bezpiecznem ukryć miejscu, król Harfiarz ucieka. Louhi wszystkie potęgi piekieł posyła za nim pogonią. W przeprawie przez jakieś morze, burza druzgoce statek uciekającego. Wainamoinen talizman tuląc u łona ratuje się w pław przez rozhukane fale. Już, już dopada do brzegu, gdy w tem Louhi w postaci sępa dopędza go i *Sampo* wydrzeć mu usiłuje. Śmiertelne pasowanie się dwóch zaciętych wrogów, kończy się wprawdzie porażką i zgonem czarnoksiężnika, lecz niestety i *Sampo* wyrwany ostatniem szarpnięciem jego krogulczych szponów, razem z nim na zawsze w bezdennej tonie otchłani.

Z ostateczną utratą talizmanu urywa się bezpowrotnie pomyślność *Kalewy*. Darmo Wainamoinen dźwiękami swojej *Kantele* stara się podtrzymać upadające cnoty plemienia. Rzekłbyś, że *Sampo* w głąb morza przynajmniej połowę z ich dawniejszej porwał potęgi. Wainamoinen starzeje się w zapasach z niedolą. Wtedy tam gdzieś w oddalonej krainie, Dzieciątko rodzi się Boże, i zostaje królem *Karelji* (sic?) Wainamoinen widzi, że misja jego już spełniona, i że nie ma dlań miejsca na nowym świecie. Wstępuje więc z harfą nad brzeg morza, ostatnią na jej strunach wydźwięcza *runoję* i ze szczytów skały ciska się w głąb tej samej otchłani, która połknęła *Sampo*, a z nim szczęście jego krainy.

I po dziś dzień opowiadają żeglarze, że w pewnych porach roku, tonie Oceanu nadziemskiemi odzywają się dźwiękami. To stary Wainamoinen na swojej przegrywa *Kantele*, a fale morskie posłusznym wtórują mu szmerem.

Kalewi-Poeg wydany przez doktora Kreuzwald'a, dotychczas nie był tłumaczonym na żadne inne narzecze. Zrozumiecie więc łatwo, dla czego jego przeczytanie i opowiedzenie zupełnem jest dla nas niepodobieństwem. Ma on streszczać dzieje osieroconego narodu aż do chwili, gdy wyparty przez obcych najezdników opuścił mlekiem i miodem płynące błonia *Kalewy* i wędrując na północ oparł się aż na granitowych brzegach "Suomi" (Finlandji.)

Zgodzicie się bez sporu, że tej pierwotnej i bajecznej legendzie zdziczałego odtąd i podupadłego plemienia, nie zbywa na pewnym wdzięku, na oryginalnym kolorycie, ze dziewiczej fantastycznej poezji. Częste jej analogje z mitologicznemi podaniami Grecji, zdradzają jeśli nie pokrewieństwo ras, to przynajmniej bliskie ich z sobą niegdyś sąsiadowanie. Łagodny charakter szczepu, pokojowe jego usposobienia, przebijają się w niej na każdym prawie kroku. Krew ludzka nigdy w niej i nigdzie, jak w innych tego rodzaju heroicznych epopejach, obfitą nie płynie strugą. Wainamoinen walczy pieśniami — Louhi czarów broni się potęgą. Raz odzyskawszy dobra swoje, raz zawładnąwszy swoim talizmanem, Wainamoinen ani myśli o zemście nad przywłaszczycielami. Ucieka, unosząc zdobycz swoją do ojczyzny. Dopędzony, broniąc się do upadłego, zabija wprawdzie przeciwnika, lecz natychmiast za gwałt ten ukarany, traci cel walki, *Sampo*. Zwycięstwo jego nie jest nigdy zwycięstwem siły, lecz prawie zawsze wiedzy lub sztuki.

(Dok. nast.)

NINA.

Obrazek z życia

przez

ZOFJĘ R.

(Ciąg dalszy.)

Pani Jakóbowa dobrą była osobą — a więc i dobrą żoną była, ale byłaby nią dla najlepszego i dla najgorszego męża. O szczęściu już i nie marzyła, nie była więc wymagającą pod żadnym względem. Ideał człowieka nosiła w duszy — pobłażliwość zatem dla zwykłych ludzi rozwinęła się w niej głęboka. — Niczego nie pragnęła, nic nie żądała od życia, powiedziała sobie, że już czarę swego szczęścia wypróżniła do dna, lecz nie miała za to żalu do nikogo. Dziś już tylko widziała obowiązki przed sobą, była też jak powiadamy dobrą żoną, najlepszą matką i gospodynią domu mężowskiego, przywiązaną i kochającą krewną. Odblask tej jasności jaką nosiła w duszy, świecił z pogodnego jej czoła, i padał ciepłemi promieniami na wszystkich otaczających. Osoby nawet mniej znające ją, czuły dla niej żywą sympatję. Najbliżsi kochali serdecznie. Najserdeczniej może i najczulej Nina. Piękna to była panna; o dwa lata młodsza od pani Jakóbowej, stanowiła z nią prawdziwe przeciwieństwo tak w powierzchowności jak i usposobieniu: brunetka, żywa, wesoła, dowcipna i ostra w sądzie o ludziach. Doszedłszy do lat 26ciu nie kochała się nawet przelotnie, chociaż bardzo wielu wzdychało do niej, gdyż i piękna była, i pociągająca żywością i wesołością charakteru. Z każdym bawiła się i śmiała szczerze, wyciągała nawet czasem na czułe słówka, ale w końcu w żart obróciła wszystko, i swobodna, zwracała się do drugiego pociągniętego urokiem jej młodości i wesołości. Pani Jakóbowa, która od kilku już lat była niejako jej opiekunką, gdyż Nina nie miała rodziców, martwiła się bardzo tem, jak się jej zdawało lekkiem usposobieniem. Często bardzo robiła jej uwagi, by uczucia niczyjego nie lekceważyła, gdyż kiedyś, gdy doświadczy sama wstrząśnień jego, żałować będzie nie jednego lekko rzuconego słówka.

Nina wtenczas całując piękne czoło młodej opiekunki, wybuchała głośnym śmiechem, zapewniając, że nigdy kochać się nie będzie, że nigdy nie będzie tak nieroztropną, aby dobrowolnie narażać się na cierpienia, które tak często miłość pociąga za sobą.

— Dlaczegóż miałabyś cierpieć, zależysz od własnej woli, masz majątek, możesz rozrządzić sercem jak Ci się podoba, i być szczęśliwą.

— O, nie, nie, już ty mnie nie namówisz na tę pospolitą chorobę ludzką, którą miłością zowią, choć by tylko dla tego, że jest zbyt pospolitą, śmieję się bronią się Nina.

— Więc nie myślisz nigdy wyjść zamąż?

— Przeciwnie, zamąż myślę wyjść, tylko nie myślę się kochać.

— Nino moja, jak można tak mówić?

— Mówmy otwarcie Milo, czy ty istotnie sądzisz, że idąc zamąż trzeba się kochać? A ty wychodząc za Jakóba kochałaś go? Wszak prawda że nie? A przecież tak dobrze żyjecie z sobą. Nawiasem powiedziawszy ze mnie nie miałby tak dobrej żony, tak stosującej się, i tak niewymagającej, lecz to nie należy do rzeczy, wracam więc do tego, że aby małżeństwo dobrze żyło ze sobą, wcale nie potrzeba, aby pobierało się z wielkiej miłości; a że przeznaczeniem kobiety jest

być dobrą żoną, a nie czułę kochanką, więc miłość jest zupełnie niepotrzebna na świecie.

— Nino! sama twierdzisz, że nieznasz dotąd tego uczucia, niewiesz więc przeto jak ono szczęśliwym czyni!

— Ach! pamiętam to szczęście twoje, z którego o mało żeś nie umarła.

Na lica Pani Jakóbowej wystąpił lekki rumieniec, nie wstydu, lecz mimowolnego wzruszenia, wywołanego tem wspomnieniem. Zamilkła na chwilę i spuściła oczy na trzymaną robotę. Natomiast wzrok Niny spoczął na zarumienionej twarzy młodej koaiety; uczuła, że temi niebacznemi słowami mogła jej przykrość sprawić, poskoczyła ku niej z właściwą sobie żywością, objęła w pół i serdecznie całowała, nie mówiąc już za co.

Mila uwolniwszy się z tych gorących uścisków posadziła siostrę obok siebie, i rzekła bardzo poważnie:

— W każdem sercu raz w życiu miłość zbudzić się musi, gdyż tak Bóg już chce. Wyobrażenia zaś ludzkie, ustawy i potrzeby, często bardzo rzeczywiste, i nieprzełamane stawią przeszkody do uwieńczenia tej miłości związkiem małżeńskim. Jak równie też często, te same wyobrażenia i potrzeby, prowadzą młodą dziewczynę do ślubnej przysięgi z sercem wolnem zupełnie, z sercem, w którem ta iskra, ręką Bożą złożona, nie była jeszcze zbudzona do życia. I zwykle mówią wtenczas wszyscy, biorący udział w kojarzeniu tego małżeństwa, że będzie ono bardzo szczęśliwe, gdyż wprawdzie wychodząca zamąż panna, nie kocha się w swoim przyszłym, ale też nikogo dotąd nie kochała. Przywiąże się do męża, i jako dobrze wychowanej osobie, przywiązanie to wystarczy do szczęścia. Nie będzie żałować za przeszłością, nie mając w niej wspomnień żadnych.

Ja zupełnie inaczej zapatruję się na te stosunki, i mam to przekonanie, że jeżeli małżeństwo nie pobiera się z obopólnej miłości, lecz jeżeli je łączą jakiekolwiek widoki: rodzinne, światowe, albo wprost rachunkowe, jest zawsze szczęśliwie dla obojga, jeżeli uczucie którego raz w życiu każdy doznać musi, stoi już po za młodą osobą, wstępującą na nową drogę. Można by mi powiedzieć na to, że osoba szlachetna, cnotliwa nie dopuści uczucia do serca, związana przysięgą małżeńską. Ja zaś odpowiem, że osoba szlachetna i cnotliwa nie podda mu się, nie ulegnie, walczyć będzie, nie upadnie w walce; ale czy nie uczuje się bardzo nieszczęśliwą, czy najniewinniej nie da światu pobudki do ostrzenia na niej swej złośliwości? A przez to, czy nie narazi na szwank imienia które nosi? Czy nie zakłóci spokoju domowego! A ileż to razy widzimy, że walczy mężnie, opiera się szlachetnie, lecz człowiekiem jest nie Aniołem, jedna chwila słabości pociąga ją w przepaść, okrywa hańbą i niesławą! Gdy przecie, serce które już przeszło walki, burze i cierpienia, które jak koncha perły, zamknęło w sobie boleści swoje, jest bezpieczne i silne na wszelkie pociski, jakieby w nie uderzyć mogły.

— Bardzo pięknie mówisz, jednak do mnie nie da się to zastosować, znasz moje usposobienie i wiesz, że ja bym się nigdy zakochać nie mogła; nie wiem co mnie od tego broni, zdaje mi się, że duch przekory, by nigdy nie zrobić tego, co ktoś żąda. Jeżeli więc widzę wzdychającego, i chcącego podobneż westchnienia ze mnie wydobyć, doznaję wtedy niezwalczonej chętki wyśmiania go, i obrócenia w żart całego sentymentu. A za tem idzie, że i we mnie nikt na prawdę zakochać się nie może. Każdy chwali i wynosi pod niebiosa, i na tem koniec. Powiedz czy choć jeden z tych, którzy wzdychali do mnie, kochał się prawdziwie?

— Czy możesz żądać tego, jeżeli jak sama mówisz, każde uczucie zaraz w początku, wyśmiejesz i w żart obrócisz.

— Tak, bo jakżesz mogę przyjmować to, czego oddać nie jestem w możności. Utrzymujesz, że każdy musi doznać, raz przynajmniej w życiu, uczucia miłości, jest to niby regułą życia ludzkiego, a że każda reguła ma swoje wyjątki, w tej ja będę wyjątkiem.

— Wiesz Nino, że ile razy słyszę cię mówiącą w ten sposób, uczuwam dziwną trwogę, jakieś złe przeczucie ściska mi serce!

— O moja Milu droga, zawołała Nina wesoło, całując przy tem serdecznie siostrę, bądź zupełnie spokojną o mnie, nic mi się nie stanie złego, najspokojniej przejdę całe życie, a jeżeli chcesz to ci nawet opowiem szczegółowo, jak mi ono przechodzić będzie:

W najbliższej przyszłości widzę, że pan Konstanty oświadczy się o mnie, ja go, jako rozumnego, statecznego i bogatego człowieka przyjmę. Dalsze życie będzie mi płynąć swobodnie, nie zamącone wspomnieniami, jak też i w przeszłości niczem nie zakłócone. Wiosna na wsi, lato u wód zagranicznych, zima w mieście. Przy rozumnym i dobrym mężu chwile zbiegają mi szczęśliwie. Dla rozrywki pobawię się czasem czyjemś sercem, bez narażenia swojego. Jako mężatka mając więcej swobody i wolności......

— Moja Nino! — już oburzona przerwała pani Jakóbowa, tak mówisz jak gdybyś była złego serca i złych zasad, a ty masz tylko taki język niepowstrzymany, który gdy się raz rozplecie, wpada na najdziwaczniejsze pomysły.

Nina rośmiała się wesoło.

— My bo, droga Milu, zapatrujemy się zupełnie inaczej na tę stronę życia ludzkiego. Ciebie nastraja ona na niesłychanie wysokie tony duchowe, we mnie budzi wesołość.

— Raz jeszcze powtarzam Ci Nino, że podobne mowy twoje dziwną trwogą padają mi na serce!

— Ha, ha, ha, zaśmiała się Nina, bo to serce twoje już jest tak utworzone, że nic nie przyjmuje jak zwykłe serca ludzkie. Nigdy cię nie zapomnę w roli mentorki tego ciemnookiego Adasia, który przed trzema laty w Krynicy tracił głowę za tobą.

— Czyż mogłam dać inny kierunek rzeczy, która w końcu była by się stała drażliwą dla mego męża, a niebezpieczną dla tak młodego chłopca.

— Ot widzisz, jak ty wszystko bierzesz skrajnie. Drażliwą dla twego męża! Wszakże Jakób najspokojniej kosił siano i żął żyto, ani się troszcząc co ty robisz w Krynicy.

— Moim przecież obowiązkiem było, stać na straży honoru i spokoju jego.

— Nie powiadam też aby istotnie honor twego męża miał cierpieć na tem, ale ja bym była pięknego młodzieńca doprowadziła do wyznania miłości, a potem, potem? było by to już zależało od chwilowego kaprysu, albo bym była wydrwiła, wyszydziła i odprawiła młodzieniaszka z kwitkiem, albo też byłabym mu pozwoliła z daleka wzdychać i tęsknić; był by miał przyjemność „kochania się." Ale z pewnością nie byłabym go tak jak ty moralizowała po mentorsku, naprowadzając na drogę rozsądku, pracy etc. etc., bardzo to piękne rzeczy, ale niesłychanie nudne.

Mila, ostatniemi słowami trochę dotknięta, z zaledwie widoczną chmurką na czole odrzekła:

— To wiesz, że inaczej byłabyś postąpiła, ale nie wiesz tego, czy lepiej.

Nina rozśmiała się wesoło i szczerze.

— Droga moja siostrzyczka już się gniewa. Sama przyznaję, że może nie lepiej, ale w każdym razie weselej.

— Dla ciebie, z pewnością, ale dla......

— Ach proszę cię, tylko nie ubieraj w jakieś szczególne sentymenta pierwszego lepszego młokosa. Co by tam dla niego miało tak bardzo smutnego wypaść! byłby trochę powzdychał, kilka księżycowych nocy przesiedział zadumany pod drzewem, skleił parę lichych rymów, i w pół roku najdalej, wprawniejszy już w te niezbędne akcesorja miłości, zwrócił by się był do drugiej.

Przy ostatnich słowach, drzwi się otwarły i wszedł p. Jakób. Wzrostu był miernego, tuszy miernej, twarzy okrągłej, mocno ogorzałej, czoło tylko już łysiejące bieliło się a zarazem i świeciło. Ubranie trochę zaniedbane, które to zaniedbanie najwięcej uwydatniała zmięta koszula na piersiach. Buty wysokie i mocno okurzone świadczyły, że powraca z jakiejś gospodarskiej peregrynacji czy objażdżki. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Studja nad kobietą przez Dra Edwarda Reicha. Przełożył z niemieckiego S. Kramsztyk. Warszawa 1876 r.

Istotne zrozumienie kobiety osiągniętem być może jedynie na podstawie ścisłego wystudjowania faktów, dostarczonych przez badanie i obserwację. Bez dokładnego zaznajomienia się z naturą i warunkami życia niewiast nie można rozstrzygnąć żadnej kwestji, odnoszącej się do stanowiska społecznego, pracy i innych stosunków płci żeńskiej. Ponieważ jednak od przymiotów niewiasty i jej postępowania w życiu zależy los całej ludzkości, przeto dla każdego, kto ma do czynienia z człowiekiem i społeczeństwem, nieuniknioną jest koniecznością badanie kobiet. Wyniki tego rodzaju badań, obserwacji i rozmyślań, podaje nam Dr. Edward Reich w powyższych studjach.

— Nihiliści. Powieść przez Józefa ks. Lubomirskiego. Poznań — 1876.

Powieść ta stanowi drugą część powieści tego autora p. t. „Szlachta i czynownik."

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— W miejsce śp. Augusta Bielowskiego, wybrany został prof. Małecki przewodniczącym lwowskiej komisji historycznej Akademji umiejętności. Na posiedzeniu pod jego przewodnictwem (d. 9go) odbytem wybrano komitet redakcyjny, mający się zająć wydawnictwem „Monumenta Poloniae." Do komitetu weszli: prof. Małecki, prof. Liske i dyrektor Zakładu Ossolińskich dr. Kętrzyński.

— Administracja „Gazety Narodowej" wydaje asygnacje na „Wybór poezyj Lenartowicza," za okazaniem których księgarnie krajowe wydadzą cztery tomy tych utworów prześlicznych, wydanych w Krakowie. Asygnacja kosztuje 8 zlr. Całkowity dochód ze sprzedaży przeznaczony jest dla naszego wieszcza, mozolnie dłutem pracującego we Florencji na kawałek chleba. Księgarze zrzekli się rabatu, a publiczność, spodziewamy się, okaże swą cześć dla poety, nabywając jego pieśni cudowne i przejmując się duchem, jakim je natchnął. Osoby, które chcą, ażeby im asy-

gnacje wysłać na prowincję, dołączyć powinne do ceny 8 zlr. markę pocztową wartości 15 ct.

— W środę, 15 bm. wystawiony ma być na naszej scenie dramat W. Sardou pt. „Nienawiść.“

— Pan Stefan Jarzymowski, młody i utalentowany artysta rzeźbiarz, wrócił temi dniami z Paryża po kilkoletniej podróży artystycznej, i zamierza podobno na jakiś czas osiedlić się we Lwowie. Życzymy mu z całego serca powodzenia, i spodziewamy się, że nie pożałuje powrotu między swoich.

— W czytelni akademickiej został urządzony staraniem ustępującego Wydziału z r. 1875/6 wieczorek wokalno - muzykalny z następującym programem: 1) Moniuszko: Halka, Grand Duo odegrali Wł. M. i St. N. 2) Chopin: Nocturne Cis moll i Schubert: Impromtu C moll na fortepianie wykonał L. P. 3) Syrokomli „Gawęda“ wygłosił Z. Z. 4) Liszt: Romanesca, transkrypcja na cytrę, wykonał Al. P. 5) Verdi: Violetta akt II śpiew. W. 6) Mendelsohn - Liszt: Hochzeitsmarsch und Elfenreigen, odegrał na fortepjanie Wł. M. 7) Halévy: Żydówka akt IV śpiew. W. 8) „Żyje“ wygłosił M. 9) Halisz. Pożegnanie i koniec pieśni odegrał na cytrze Al. P. Nie jest zamiarem naszym oceniać wykonanie pojedynczych numerów, tem bardziej, że amatorowie udział biorący nie mogą podlegać jaki jkolwiek krytyce, obowiązkiem jednak naszym podnieść szczere zabiegi Wydziału, a raczej komisji wieczorki urządzającej, około powiększenia ich liczby. Obok tego jeszcze jedno staranie komisji zasługuje na pochwałę. Oto przez cały rok ubiegły przedewszystkiem przestrzegano, aby udział biorący w wieczorkach muzycznych byli sami akademicy. Przypuszczając w ten sposób młode siły i talenta do produkcji, daje się im bodźca do pracy a zachętę do dalszego kształcenia się.

— Nie zbywało Karpatom na malarzach. Geologja, powieść i poezja, pendzel, litografja i drzeworyt, Staszic, Pusch, Goszczyński, Pol, Zaleski, Eliasz i tylu a tylu innych, słowem, rysunkiem i barwami odtworzyli je na podziw światu. Obecnie wzięła się do matematycznie wiernego zdjęcia ich wizerunku fotografja. Pan A. Schubert wdarł się ze swoją ciemnią optyczną na najwyższe i najniebezpieczniejsze szczyty, ażeby ztamtąd przy pomocy jedynie światła i wrażliwego związku chemicznego pochwycić rysy olbrzyma w chwili wesołości i gniewu. Album Tatrów, złożone z 12 widoków, jest do nabycia po 10 guld., z których 2 guld. p. Schubert ustępuje na zasiłek funduszów Towarzystwa Tatrzańskiego. W jednem z pism warszawskich spotykamy ustęp listu prywatnego, opisujący wyprawę fotograficzną p. Schuberta do Pięciu Stawów przez Zawrat. Wdzierając się na górę z przyrządami fotograficznemi musiano sobie przez sześć godzin wyrębywać schody w lodzie i po nich dopiero dostawać się wyżej. Dosięgnąwszy nareszcie upatrzonej wyniosłości, musiano szukać pokrzepienia w spoczynku pod wielką płachtą gumową, z pod której po przebudzeniu trudno się było dźwignąć, bo w nocy pomimo lata spadł śnieg i przygniatał śpiących warstwą przeszło 6 cali grubości. Śnieg i mgła, niedająca nic dojrzeć, udaremniły całą wyprawę. Musiano zostawić narzędzia fotograficzne w śniegu, schodzić na dół z niewypowiedzianem niebezpieczeństwem z powodu zamieci, i nareszcie obozować w szałasie Tow. Tatrzańskiego, mając „wodę pod sobą, wodę nad sobą i ani jednego księżyca.“ Strumienie górskie, wezbrane skutkiem topnienia śniegu trzymały dwóch naszych podróżników i pięciu przewodników jak w oblężeniu, dym rozpalonego ogniska wygryzał oczy, a na domiar złego było w sakwach ledwo półtora bochenka chleba na 7 ludzi... A kiedy słota przeszła, znów potrzeba było wspinać się na odbieżane wyżyny...

— Dr. med. p. J. Żagiel, znany podróżnik po Wschodzie, przygotowuje do druku niektóre z rękopisów, jakie otrzymał w spadku po swoim bracie, owoc długoletniej pracy Adama Żagiela z Wilkomierskiego († 1874). Prace te dotyczą głównie dziejów starej Litwy.

— P. Cassiusz wydaje dzieło Kazimierza Jarochowskiego pt. „Opowiadania i studja historyczne,“ które ma wyjść w dwu tomach, pierwszy w grudniu, zawierać będzie następujące prace: „Przyczynek do dziejów bezkrólewia po Michale Wiśniowieckim,“ „Kandydatura duńska,“ „Jan Jabłonowski,“ „Epilog sprawy toruńskiej,“ „Napad Brandenburczyków,“ „Rzym i Polska.“

— Według doniesienia „Nat. Ztng.“ następca tronu niemieckiego wydał napisaną przez siebie książkę pt. „Podróż moja na Wschód“ w czterdziestu tylko egzemplarzach. W pracy tej autor opisuje czytelnikowi wrażenia doznane w czasie swej podróży na otwarcie kanału suezkiego.

— W Paryżu ma wyjść z druku pierwszy tom „Podróży po różnych krajach Starego i Nowego Świata,“ dzieła napisanego przez Dom Pedra, cesarza brazylijskiego po portugalsku. W pierwszym tomie zawarty został opis Stanów Zjednoczonych. Wkrótce też to samo dzieło ma się ukazać w języku francuskim, angielskim i niemieckim.

— Wkrótce ukaże się w kopji litograficznej W. Walkiewicza piękny obraz T. Maleszewskiego „Zosia“ (z pana Tadeusza).

Ogródki freblowskie.

— Pp. J. Jaroszyńska i Marja Bartus, otworzyły 9go bm. przy ulicy Halickiej naprzeciw nowo wybudowanego gimnazjum, ogródek freblowski dla dzieci od lat 3 do 7. Nowy ten Zakład wychowawczy dla dziatek polecamy gorąco uwadze rodziców i opiekunów.

Podróże i wyprawy.

— Obok trzech osobnych wypraw podbiegun. urządzonych przez trzy państwa północne, praktyczni a niezrażeni połowcy północni w r. b. — dzięki sprzyjającym warunkom powietrza — zdołali dotrzeć głęboko na północ. Zdobycze tych ludzi praktycznych mają także niepoślednie znaczenie dla umiejętności. Tym razem zwłaszcza, niejaki Kjelsen, żeglarz i dowódca statku „Joanna Marja“ z Tremsö w Norwegji wzbogacił wiedzę ciekawemi spostrzeżeniami. Podczas żeglugi swej na morzu Lodowatem, dotarł Kjelsen do Storön i zobaczył z tamtąd nieznaną dotychczas 400 do 600 stóp nad poziom morza wzniesioną wyspę, którą dla białego ubarwienia, w jakiem się mu przedstawiła, nazwał „Zvidöen,“ to jest „Białą wyspą“. Z Storön popłynął dzielny żeglarz do przylądka Smytha, a z tamtąd wprost ku północy. Przez półtora doby płynąc w tym kierunku, do 80° 31' północnej szerokości, znalazł tam morze zupełnie przystępne dla żeglugi, lodów ani śladu. Zdaniem Kjelsena mogły tego lata okręty drogą obraną przez niego, dotrzeć znacznie dalej niż kiedykolwiek dotarły w kierunku północnym; natomiast stosunki prądów morskich w owych okolicach wskazują, że powyżej 82° północnej szerokości w owej stronie ląd stały zagrodziłby drogę okrętom chcącym dotrzeć do samego bieguna. Zdaje się mianowicie, że bystry prąd przechodzący po zachodniej stronie Spitzbergów, złamawszy się o ten nieznany dotąd ląd zwraca się znów na wschód ku morzu, pomiędzy Spitzbergami a Nową Ziemią, gdzie znów łączy się z drugą odnogą pierwotnego prądu. Z tego by wynikało, że jedyną drogę do bieguna przedstawia cieśnina morska pomiędzy Nową Ziemią a krajem Franciszka-Józefa.

— P. Oktawiusz Stene, pierwszy podróżnik, który dotarł do gór Owen Stanley, w głębi Nowej Gwinei, wrócił do Anglji i pracuje nad opisem swych przygód.

— Szwedzki porucznik Sandeberg powrócił temi dniami do Sztockholmu z naukowej podróży po północnej Rossji. Wynik podróży, przedsięwziętej w celach ornitologicznych, ma być zadowalający.

Statystyka.

— Małe królestwo greckie odznacza się także wielkim rozwojem prasy perjodycznej. W r. 1875 wychodziło tam 152 różnych czasopism, z których 66 w samych Atenach. Nadto po za granicami królestwa Greckiego wychodziło 17 dzienników greckich, z tych 6 w Konstantynopolu, 3 w Smyrnie, 3 w Aleksandrji, 2 w Tryeście, oraz w Samos, Bukareszcie i Braile po jednym.

— Prasa perjodyczna w Węgrzech jest może najmłodsza w zachodniej Europie, pierwsze bowiem czasopismo w języku madziarskim pokazało się dopiero w r. 1790. Ostatniemi laty prasa ta rozwinęła się tak szeroko, że obecnie liczebnie mało co już ustępuje najbogatszym w ten rodzaj piśmiennictwa narodom Europy, biorąc oczywiście stosunkowo. Przed 15 laty liczono tylko 32 czasopism węgierskich, dziś liczba ta dochodzi 240; nadto w krajach korony Św. Szczepana wychodzi 121 czasopism w innych językach, z tych 71 niemieckich, 30 w językach słowiańskich (z tych 1 polskie), 12 rumuńskich, 1 włoskie i 1 żydowsko-niemieckie.

— Ostatnie obliczenie ludności m. Warszawy wykazało 98.698 mieszkańców wyznania Mojżeszowego. Warszawa liczy więc przeszło dwa razy więcej mieszkańców tego wyznania niż cała Francja, niż Anglja i Włochy razem, i więcej zgoła niż każde pojedynczo brane państwo Zachodniej Europy z wyjątkiem Prus i Austrji. Można też orzec śmiało, że Warszawa jest obecnie w świecie najliczniej przez żydów zamieszkałem miastem. Kto wie, czy ludniejszą była Jerozolima za Salomona? Stosunkowo do ogółu ludności, Żydzi stanowią obecnie w Warszawie 33·2%, gdy przed 10 laty stanowili 31%, a przed 20tu 26%.

Wystawy.

— Na wystawie produktów kolonij francuskich w pałacu przemysłowym zwracają od pewnego czasu na siebie uwagę różnobarwne perły, okazy perłowej macicy i muszle perłowe, we wszystkich stopniach swego rozwoju. Pochodzą one z zakładu hodowania pereł, który porucznik okrętu Mariot urządził na wyspie Aratna (Oceania). Muszle od wielkości talara dochodzą tam do wielkości talerza i przez lat pięć wydają najkosztowniejsze perły, po upływie jednak tego czasu piękność ich coraz się zmniejsza. W Nowej Kaledonji i Tahiti niedawno utworzyło się towarzystwo francuskie łowienia pereł i gąbki, które szczególnie swą czynność na brzegach wysp Oceanji, za pomocą nurków z Archipelagu Pomotu i wysp Gambijskich, rozwijać zamierza.

Sprawy wyznaniowe.

— Założono niedawno w Belgji Towarzystwo naukowe, którego wszyscy członkowie są katolicy; postanowili oni wykazywać zgodność rozumu z wiarą. Liczba stowarzyszonych doszła już do kilkuset. Skoro tylko zbiorą odpowiedni fundusz, mają wydawać pismo, które będzie organem nauki katolickiej.

— W Niderlandach w kościele reformowanym wybuchła sprzeczka, która grozi rozłączeniem stronnictwa liberalnego i ortodoksyjnego. W przeszłym roku zmienił powszechny synod krajowy na prośbę coś 400 pastorów formułę przy konfirmacji w duchu postępowym. Tegoroczny synod zaś obalił uchwałę synodu zeszłorocznego, zaprowadzając obowiązkowo daleko ostrzejszą dogmatyczną formułę poprzednią. Na to odbyli postępowcy zgromadzenie w Amsterdamie, i postanowili powtórnie przeprowadzić na synodzie przywrócenie uchwały z poprzedniego roku.

Roboty publiczne.

— Kapitan Roudaine odczytał przed towarzystwem geograficznem w Paryżu sprawozdanie ze swych pomiarów co do projektowanego kanału, mającego złączyć Saharę z Oceanem i zmienić ją w morze. Praca ta, wedle sprawozdawcy, nie przedstawia niepokonanych trudności, gdyż wysokość grzebienia lądowego, dzielącego pustynię od morza, wynosi w najwyższym punkcie tylko 46 metrów. Komisja włoska zaniechała swej opozycji przeciw projektowi, motywowanej dawniej obawą o zmianę klimatu w południowej Europie w razie zalania Sahary. Pp. Lesseps i Abadie przyrzekli czynny udział w tem dziele.

Komunikacje.

— Wschodnie Towarzystwo telegraficzne w Londynie postanowiło zaprowadzić nowy podmorski drut z Londynu do Marsylji, a ztąd do Algierji i Egiptu. Koszta obliczają na 100.000 funtów szterlingów.

Gospodarstwo.

— Myszy polne były tej jesieni plagą nietylko naszych gospodarzy. W Palatynacie reńskim pojawiły się w ogromnej ilości. Niektóre gminy wytępiły po 40 do 100 tysięcy tych żarłocznych zwierzątek, które rzucają się nietylko na łany zbożowe, ale także na winnice.

Szkolnictwo.

— W Paryżu założono świeżo jako uzupełnienie szkoły medycznej „Ecole de Médecine,“ wielką szkołę dla Antropologji. Najwięksi finansiści, między nimi trzej Rothschyldzi, pożyczyli lub darowali na ten cel znaczne sumy.

ROZMAITOŚCI.

— Gdy niezmierzone stepy środkowej Azji nie mogły już pomieścić w swych olbrzymich granicach zbyt licznej ludności, gromadziły się tysiączne hordy mieszkańców, i wyruszały na Zachód. Z historji wiemy dobrze, jakie przewroty i zmiany wśród ludów nastąpiły skutkiem takich emigracyj z Azji. Mniej jednak znaną zapewne jest emigracja innego rodzaju, która ztamtąd miała miejsce w poprzedniem stuleciu. Powodem jej zaś były zjawiska czysto elementarne. W roku 1727 nawidzone zostały kraje około morza Kaspijskiego przez gwałtowne trzęsienie ziemi Zdaje się, że skutkiem tego, stał się pobyt w tych stronach mieszkańcom podziemnym nader niewygodny i nieprzyjemny, gdyż wnet nieprzeliczone ich gromady zjawiły się na powierzchni ziemi, śmiało przepłynęły Wołgę koło Astrachanu, i rozlały się niepowstrzymaną powodzią na cały Wschód Europy. Wnet za przykładem pierwszych partyj, popłynęły równie mnogie dalsze. Jedna z takich czered napadła pewnego popołudnia w r. 1760 sybirskie miasto Jaik. Naprózno przerażeni mieszkańcy stanęli do obrony zagrożonych swoich mieszkań, i sprawili prawdziwą rzeź pomiędzy intruzami. Po piętrzących się trupach zabitych lazły zewsząd do miasta, nowe stada i niebawem zapełniły sobą wszystkie place i ulice. domy i zabudowania. Brunatne futerka tych intruzów, tuszy połowy wielkości co głowa, i zuchwałe a złośliwe oczy, na koniec długi i nagi ogon, wcale nie prezentują się przyjemnie oku ludzkiemu, i wątpimy bardzo, ażali istnieje jaki człowiek, w którymby szczur wędrowny — a o nim mówimy, jak się tego domyśleć łatwo — nie obudził usprawiedliwionego wstrętu. Prawie równocześnie z przybyciem szczura wędrowca ze Wschodu, przyniosły go do Zachodniej Europy okręty indyjskie, i po nie wielu latach zwierzę to tak się rozpowszechniło na nowo zdobytym kontynencie, że obecnie nie ma zakątka, gdzieby go nie było w wielkiej ilości. Przybysz ten osiedlając się wytępił wszędzie rodzaj miejscowych czarnych szczurów, podobnych z barwy i kształtu do dużej myszy. Jeśli ten był istną plagą, to zato nowy stokroć od niej gorszą, od której człowiek nawet obronić się nie jest w stanie. Żarłoczność swoją i formalną manją niszczenia sprzątda nieobliczone szkody, a ani bramy, ni mury, ni wody są mu powstrzymującą zaporą. Biega szybko, skacze znakomicie, wdrapuje się na najbardziej pionowe ściany, przegryza najtwardsze deski dębowe, a nawet mur nie jest mu zawadą w drodze, bo albo utoruje sobie przechód pomiędzy cegłami, albo wygrzebie spodem wygodny tunel. Po dnie rzeki biega tak swobodnie, jak gdyby mu woda wyłącznym żywiołem była, i odważnie przepływa najszersze koryta. Przyjdzie mu przebyć morze, to siada na pierwszy lepszy statek, pozwalając się zabrać a potem wysadzić na ląd z ładunkiem okrętowym. Kosmopolita z niego w najprawdziwszem tego słowa znaczeniu, zaradzający sobie wszędzie wyśmienicie. Najchętniej, oczywiście, żyje kosztem człowieka. A że wszystko, czego tylko używa świat zwierzęcy i rośliny, starczy mu na wyżywienie, więc też może egzystować nawet na pustyni. Dowodem tego okolice Suezu, gdzie tych ichmościów miljony. Bojaźni nie zna, mimo swych małych rozmiarów, a zuchwalstwo jego dochodzi do podłej bezczelności, gdy widzi bezwładność człowieka. Zdarzało się przecie, że nadgryzał żyjące ciała chorych lub niemowląt, wyżerał spore kawały mięsa u nierogacizny tuczonej lub drobiu wygrzewającego pisklęta. Co więcej, gdy mu się uda, chwyta młodziutką zwierzynę i niemal przed oczyma człowieka porywa pisklęta drobiu domowego. Taki Napoleon I, przecie zdobywca połowy świata, gdy przebywał na św. Helenie, musiał z niemi bezustanną prowadzić wojnę, a co gorsza że bez pomyślnych rezultatów. Zuchwałość ich była tam tak ogromną, że w biały dzień wywlekały ze spiżarni zapasy żywności, nawet jadło z kuchni, a nieraz wpadały do sali jadalnej, by i stąd rozdobyć swój udział. Słowem, gdziekolwiek tylko zagnieździły się na dobre te duchy zniszczenia, już je ztamtąd wykorzenić niezmiernie trudno. Na okrętach, jest to nawet rzeczą wcale niepodobną do wykonania. To też tam zakwaszają żywot majtkom i trapią ich bezustannie, że ci zresztą dla zwierząt niezmiernie przyjaźni, szczurów tępią z najbardziej wyszukanem okrucieństwem. Uwagi godny tu zaisty fenomen, że nieznośne te stworzenia, jak gdyby okazać chciały, iż się nie boją człowieka, osiedlają się właśnie najchętniej w najbliższem jego sąsiedztwie. Czem więcej gdzie mieszka ludzi na pewnej przestrzeni, tem tam więcej niechybnie szczurów; w stolicach np. i wielkich miastach portowych, żyją ich miljardowe stada, Na wsi zabudowania mieszkalne, obory, stajnie i chlewy, są im najmilszym przybytkiem. Dla ostatnich, są one tem niebezpieczniejsze, że przynoszą z sobą trychiny. W mieście uganiają się po kanałach, kloakach itp. podziemnych budowlach, znajdując tam ciche schronienie i pcdostatkiem odpadków dla swej żarłoczności chciwej. Szczególne tego szkodnika mnóstwo posiada Paryż. Zdarzyło się tam razu pewnego, że przez jedną noc ogryzły do kości ścierwo z trzydziestu pięciu nieżywych koni. W jednej tylko rzeźni ubito w ciągu tygodnia szesnaście tysięcy szczurów. Obliczono, że przez rok pożerają one w Paryżu sześć miljonów kilogramów pożywczych artykułów! Kanały tamtejsze zajmujące, na długość, około 150 mil, są niemi gęsto zaludnione, i obławy, urządzane czasami celem ich wytępienia, pochłonęły od r. 1790go sumę przynajmniej sześćdziesięciu miljonów talarów. Urządzają zaś je w sposób następujący: Za pomocą ścierwa zostają szczury przynęcone do sklepienia, które można uczynić zewsząd niedostępnem. Gdy już zgromadziły się koło łupu licznemi stadami, wówczas ukryci najemnicy ubrani w skórzane okrycia zamykają wszystkie wchody, oświetlają sklepienie pochodniami, i rozpoczyna się istna rzeź chciwych bestyj. Nieraz uda się położyć trupem z pięćdziesiąt tysięcy sztuk tej zwierzyny, mimo to jednak nie znać wcale ubytku. Dodać trzeba, że na utrapienie ludzkie mnożą się to licho z niesłychaną szybkością, gdyż samica miewa trzy razy do roku po pięć do dwadzieścia młodych, które już po trzech miesiącach myślą o potomstwie. Jak dalece ich żywotność jest wytrzymałą, niech pouczy następujący przykład, podany, nie jako anegdota, ale fakt prawdziwy przez pewnego naturalistę niemieckiego. W jednem z miast portowych kupiła pewna gospodyni na targu niezwykle grubego dorsza. Gdy w domu otworzyła koszyk by wyjąć rybę, wyskoczył nagle z koszyka duży szczur, a ryba przeważona powtórnie, okazała znacznie mniejszą wagę. Jak długo ten szczur, złowiony widocznie na dnie wód, przebywał w żołądku żarłocznej ryby, niepodobna było przekonstatować, w każdym jednak razie, co najmniej przesiedział w tym schowku kilka godzin bez szkody. W ogóle rzec można, że szczury dzięki swej chytrości niezmiernej i zwinności, umieją po większej części ujść prześladowaniu i zasadzkom. Na powierzchni ziemi, łowi je wprawdzie lis, tchórz itp. drapieżne zwierzęta, atoli koty, z przeznaczenia przecie swojego śmiertelne wrogi szczurzego rodu, łowią je tylko wyjątkowo. Za to niektóre gatunki psów pinczów, tak zwane ratlery, włożone do tego rodzaju polowania, oddają człowiekowi w tępieniu szczurów wielkie usługi. Prześladowaniu ręki ludzkiej umieją wywinąć się dość zmyślnie, omijając pilnie nastawione łapki i trutki. W obec tego i wspomnianej wyżej płodności ich niezmiernej, szczury wnet rozmnożyłyby się tak potwornie, że istotnie zagrażałaby wszelkiemu żyjącemu na ziemi stworzeniu, gdyby nie owa żarłoczność niesłychana. Skutkiem tej często pożerają się one wzajemnie, a gdy głód dokuczy, to matka nieraz zjada własne młode. Rzecz z tem wszystkiem zastanowienia godna, że dla starej i zchorzałej braci mają mieć wielkie współczucie. Powiadają, że któryś z badaczy obserwował, jak ośleplego starego szczura młode do karmu ciągnęły. Może to i przesadzone, faktem jest jednak niewątpliwym, że tak zwane „króle szczurów“ żyją jeno z miłosierdzia krewniaków. Rzecz zaś ma się z niemi tak: Gdy w małem gnieździe z ciasnym otworem przebywa dłuższy czas większa ilość szczurów, wówczas zdarza się, że ogony ich, skutkiem tego samego procesu, co u kołtuna ludzkiego, zlepiają się i zrastają. Powiązane w ten sposób zwierzęta nie mogą wyleźć z gniazda i poginęłyby z głodu, gdyby nie litość karmiących je braci. Lud zwie takie powiązane z sobą gromadki „królami“ a znachodzono je często, i to żyjące, przy demolowaniu starych budowli. Zdawałoby się, że te dzikie, wstrętne stworzenia nie dadzą się oswoić, a tem mniej wyuczyć od człowieka rozmaitych posług. Tymczasem każdy z nas przynajmniej raz w swojem życiu widział zapewne za pieniądze dresowane szury, szczególnie pewny gatunek białych, wykonywujące na rozkaz swego mistrza sztuczki i figle przeróżne. Dowód to jeden więcej niezmiernej wyższości i przewagi umysłu człowieka nad zwierzęcym światem. Na ostatek dodamy, że próbowano niejednokrotnie używać skórek szczurzych do wyrobu rękawiczek, atoli produkcja tego rodzaju nie dość znachodziła należnego przyjęcia w świecie noszącym rękawiczki.

— Starsi poeci angielscy wspominają dość często o „źródle Bladuda,“ pod którą to nazwą rozumieć należy znane cieplice w Bath. Do miejscowości tej, równie jak do wielu innych sławnych miejsc kąpielowych, przywiązane jest dość ciekawe podanie, jeno że mieszkańcy Bathu odnoszą tę legendę do niezmiernie starej przeszłości. Na dziewięćset lat przed narodz. Chr. — opowiada kronika Bathu — panował nad Brytanją król Lud Hudibras, który miał syna, młodzieńca pełnego nadziei nazwiskiem Bladuda. Troskliwy ojciec wysłał jedynaka do Aten, żeby tam uczył się filozofji. Po jednastu latach młody książę wrócił do ojczyzny wprawdzie bardzo uczony, jednak z djabelnie zszarzanem zdrowiem, skutkiem jakichś trądów na całem ciele. Widząc to ojciec, a obawiając się, by owa wrzekomo nieuleczalna choroba nie rozszerzyła się dalej po kraju, jako dobry monarcha, troskliwy również o zdrowie poddanych, choć z bolem serca, zamknął jednak syna w samotnej wieży, wzbraniając wszelkiego doń przystępu. Takie życie pustelnicze oczywiście nie podobało się młodemu księciu, żądnemu świata i jego rozmaitości. Umknął więc szczęśliwie z więzienia, i błądząc lasami i manowcami. zaszedł do ponurego boru dębowego we wschodniej Anglji, który formalnie roił się mnóstwem nierogacizny, należącej do jakiegoś bogatego wieśniaka. Że grecka filozofja nie starczyła na zapracowanie sobie chleba powszedniego, więc stanął u tego wieśniaka do służby, jako pasterz trzody, i mimo tej nieszczęsnej trędowatości, żył pewien czas, choć na tak niskiem stanowisku, dość jednak zadowolony i szczęśliwy. Pewnego dnia pędząc trzodę, wśród której wielka liczba okryta była podobnie jemu trądem, w inną stronę lasu, przyszedł nad wodę, z której wznosiły się wyziewy. Było to źródło gorącej wody. Otóż niebawem ujrzał ku wielkiemu swojemu zdumieniu, jak wychowańcy jego wskakiwali z widoczną uciechą do tej wody gorącej, a po kilku godzinach wyłazili, uwolnieni zupełnie od trędu. Przyszła mu tedy myśl genialna do głowy, że możeby i jemu pomogły te ciepłe kąpiele. Zaczął więc codziennie kąpać się po kilka godzin, i z radością widział, jak trędy z każdym dniem ustępowały. Po niejakim czasie ujrzał się zdrowym. Teraz też porzucił służbę, i wrócił do ojca, który go przyjął otwartemi ramionami. Po śmierci Luda Hudibras'a Bladud wstąpił na tron państwa, i u źródła tej gorącej a tak cudowną siłę posiadającej wody założył miasto Bath. To się miało zdarzyć około r. 853 przed Chrystusem — zapewnia kronikarz, — mieszkańcy zaś tamtejsi długie potem wieki wierzyli silnie w tę bajkę, bo oto w roku 1690 postawili posąg owemu Bladudowi. Pewną jest atoli rzeczą, że znakomite to źródło jeszcze przed anglosaksońskim perjodem a nawet przed inwazją rzymską już znane było i używane przez starych Brytanów.

Od Redakcji.

P. w Tarnopolu. Ci z szanownych naszych prenumeratorów, którzy zapisali się na dzieła W. Pola w pierwszym roku tego wydawnictwa, otrzymują tom po 2 złr. a ci zaś którzy przystąpili z przedpłatą dopiero w roku b. płacą za tom po 3 złr. Kilkanaście razy z rzędu zawiadamialiśmy o tem czytelników „Tygodnia.“

Treść Nr. 11.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).